

STRESZCZENIE SZCZEGÓŁOWE

„Balladyna” – streszczenie szczegółowe (dokładne) lektury

Juliusz Słowacki

maturapolski.pl — darmowe opracowania lektur

Dedykacja „Autorowi Irydiona”

Tragedię otwiera list dedykacyjny do Zygmunta Krasińskiego. Słowacki opowiada apolog o ślepym harfiarzu z wyspy Scio, który śpiewa pustemu brzegowi Morza Egejskiego, biorąc szum fal za tłum słuchaczy — i odchodzi smutny, nie wiedząc, że to fala uniosła jego pieśń. Tą przypowieścią autor zastępuje przedmowę: zapowiada, że *Balladyna* wychodzi na świat „z ariostycznym uśmiechem”, urągając porządkowi i ładowi świata. Z góry uprzedza, że Kirkor padnie ofiarą czystych zamiarów, Grabiec będzie miłował kuchnię zamiast wielkich spraw, powietrzna Goplana zakocha się w rumianym chłopie, sentymentalny Filon — w wymyślonej, umarłej kochance, a tysiące anachronizmów ma przerazić historyków. Mimo to wbrew rozwadze i kronikom „Balladyna zostanie królową polską”. Słowacki deklaruje, że dramat jest tylko epizodem zamierzonego cyklu sześciu kronik dramatycznych, w którym chce „odbudować upadłe sale” zamku z marzeń dzieciństwa. Przeciwstawia tonację swojego utworu „dantejskiej chmurze” Krasińskiego: jego własna twórczość ma być „lekkimi, tęczowymi i ariostycznymi obłokami”. List datowany Paryż, 9 lipca 1839.

Po dedykacji następuje spis osób: Pustelnik — wygnany Popiel III; Kirkor, pan zamku; wdowa Matka i jej córki Balladyna oraz Alina; pasterz Filon; Grabiec, syn zakrystiana; Fon Kostryn, naczelnik straży na zamku Kirkora; Gralon, rycerz Kirkora; Kanclerz, dziejopis Wawel, Paż, Poseł ze stolicy Gnezna, Oskarżyciel sądowy, Lekarz koronny — oraz postaci fantastyczne: Goplana, nimfa i królowa Gopła, Chochlik i Skierka. Rzecz dzieje się „za czasów bajecznych, koło jeziora Gopła”.

Akt I — Scena I (las nad Gopłem, chata Pustelnika)

Do leśnej celi pustelnika nadchodzi Kirkor, „pan czterowieżowy”, młody rycerz w karaceńskiej zbroi i z orlimi skrzydłami na naramiennicach. Wie, że starzec ma w rozumie „nieco szaleństwa” — szaleje, ilekroć padnie słowo o królach — i właśnie dlatego przychodzi po radę: zamierza się żenić. Pustelnik radzi mu zostać pustelnikiem, a kiedy Kirkor wyśmiewa pomysł, odmawia rady tłumacząc, że od dwudziestu lat nie zna już ludzi. Kirkor wypytuje go o najpiękniejsze ze znanych mu niegdyś dziewcząt, dopytuje wreszcie o królowy — i tym pytaniem wytrąca starca z rezerwy.

Na słowo „królowy” Pustelnik wybucha przekleństwem: to „ród węża”, w którym żona zbrodniami podobna mężowi, córki ojcu, synowie matkom. Klnie braterskich morderców i ujawnia się przed Kirkorem: jest królem Popielem III, wygnanym z tronu przez brata, który nocą wpuścił do komnat zbójów, by zarznąć w kołyskach jego troje dzieci. Kirkor klęka, przysięga zemstę i pomszczenie krwi niewinnych, gotów uzbroić chłopów i ruszyć na Gniezno.

Tłumaczy, że obecny Popiel skalał kraj okrucieństwem: hoduje w stawach karpie, karmiąc je ciałami niewolników wybieranych co dziesiątego z szyków; resztę trupów wyrzuca na pola jako nawóz, przez co sąsiedzi przezywają tę ziemię „Rusią Czerwoną”. Z Bożą plagą przyszły na Polskę pomory, susze i głody — łany żyta wydają puste kłosa, a kraj niegdyś bitny i obfity staje się „szarańczy szpichlerzem”.

Pustelnik bije się w piersi: to on, wygnaniec, jest źródłem nieszczęść ludu. Wraz z nim zniknęła bowiem cudowna korona Lecha, w której zamknięte było szczęście kraju, a korona brata jest fałszywym liczmanem. Opowiada Kirkorowi legendę: trzech królów wracający spod betlejemskiego żłobu — dwóch Magów i Scyta — zaszli w ziemie Lecha; Scyta, prowadzony błękitną gwiazdą bławatków przez wysokie jak las polskie zboże, trafił do chaty samego Lecha. Odmówił podziału krainy („ziemie złamane rozgraniczają się krwią i żałobą dzieci i matek”), za to wymienił z Lechem obrączki i z miłości podarował mu koronę, której dotykały ręczki Dzieciątka — kiedy Zbawiciel z łona matki wyciągał się ku rubinom, wołając „caca!”. Tę świętą koronę Pustelnik uniósł na wygnanie i ukrył pod spróchniałymi karczami lasu; chciał ją zabrać do grobu. Kirkor przysięga, że korona wróci.

Zanim jednak ruszy mścić się na Gnieźnie, prosi starca o radę w sprawie pierwotnej: na jakim pniu zaszcześcić ród Kirkorów, kogo wprowadzić jako żonę w mury zamku. Pustelnik odradza zaloty do królowien i wielkich rodów — większość tych, którzy „biegli z pierścionkiem ślubnym za marą wielkości”, brali zamiast żony „kość niezgody”. Każe mu pójść inaczej: niech rycerz patrzy, gdzie jaskółka ulepiła gniazdo pod słomianą strzechą; tam, w ubogiej chacie, znajdzie pannę karną, miłą i niewinną. Kirkor przyjmuje radę z entuzjazmem — woła do wyobrażonej „czarnej jaskółeczki”, by go prowadziła, i wychodzi. Pustelnik zostaje sam, gorzko medytując o młodych: odchodzą szukać szczęścia, a starcy, którzy szczęścia nigdy nie spotkali, może po prostu „szukać nie umieli”. Akt rozpoczyna się więc od dwóch równoległych obietnic Kirkora: zemsty politycznej i niespodziewanego małżeństwa z prostą dziewczyną — i od ujawnienia ukrytego sensu rzeczywistości, w której władza tyrana jest fałszywa, a prawdziwa korona, dotknięta przez Dzieciątka, leży zakopana w lesie.

Po wyjściu Kirkora do tej samej polany przychodzi Filon, pasterz „fantastycznie we wstążki i kwiaty ubrany”, w stanie egzaltacji. W lirycznej tyradzie zwraca się do słońca, drzew i strumienia: wyznaje, że marzył o losie Endymiona, że z niebios zstąpi do niego biała bogini „różami wieńczona” i rozplomieni mu usta. Skarży się, że na ziemi „nie ma Dyjanny” i że uwiędnie samotny jak fiołek lub jesienny kwiat. Pustelnik ucina te jęki z pogardą — Filon ma być „chciwy Akteona wanien”, a przez takich jak on tysiące panien starzeje się bez mężów. Filon broni się: szukał miłości naprawdę, na żniwach pod słomianymi kapeluszami żniwiarek o twarzach jak maki, na łąkach z bielonym płótnem, na dworach, gdzie królowny są „podobne gwiazdzie Wenus” — czerwone, lecz bez promyka, bo „sercem się drożą więcej niż koron brylantami”. Pustelnik miota go pretensjonalnym przekleństwem („kwiecie beznasienny,

studniom niezdatny jak stłuczone dzbanki") i grozi, że gdy odzyska tron, zamknie go w szpitalu dla obłąkanych albo posadzi na ławie z dziećmi. Filon dziwi się, że starzec gada nieprzytomnie, i radzi mu wsadzić głowę w strumień. Pustelnik odpowiada gestem: „woda nie obmyje na moim czole czerwonego pasu” — pokazuje fizyczny ślad korony, który dwadzieścia lat życia w lesie nie zagoiło, a drugi taki pas „od mieczów kata” rozdziela mu serce. Filon nie rozumie tej rany; uznaje, że starzec oszalał z postu i samotności, i odchodzi w głąb lasu, by tam być „sam — z tobą”, to znaczy z nieznaną kochanką, którą nosi w sercu. Pustelnik wraca do celi z pogardliwym: „Jak szaleją ludzie!”.

Akt I — Scena II (inna część lasu, brzeg jeziora Gopła)

Scena przenosi się w świat fantastyczny. Skierka i Chochlik, dwa duchy służebne, czekają, aż obudzi się ich królowa, nimfa Goplana. Chochlik narzeka po cichu — Goplanę uważa za „jędzę” i przelicza w jednym ciągu codzienne zlecenia: wkładać jaja motylic w żołądź, pomagać mrówkom budować stolice, rozwiązywać pancerze majowych krówek, czytać z księgi ulowej prawa pszczołom, uczyć pierwocne jaskółki budownictwa, srokę namawiać „nie kradnij”, wmawiać wróblowi, że pięknie świegoce — „pracuj jak koń pogański całe lato, a zimą śpij u chłopa za przypieckiem”. Skierka, oddany królowej, jest zachwycony: pokazuje, jak Goplana wynurza się z jeziora — kołysana wiatrem jak liść ajeru, lekka jak łabędź, ledwo dotykająca tafli; na warkoczu niezapominając krzeseł z fal brylantowe iskry. Wianek na jej głowie okazuje się hebanowo czarny — uplotły go uśpione na nóżkach związane jaskółki, które jesienią spadły na dno rzeczulki, a teraz, kiedy promienie wiosennego słońca przeniknęły ich mokre piórka, odżywają i odlatują. Nimfa, sama oszołomiona tym cudem, woła Skierki.

Goplana ledwo zorientowana w czasie („Czy to jeszcze rano?” — „Pierwsza wiosny godzina”) prosi najpierw Chochlika o różę. Skierka, niecierpliwie wyliczając, co może dla niej zrobić — owijać tęcze, budować pałace na kolumnach malw i dzwonek, łowić błędne ogniki nad trzęsawiskiem i zamykać je w lilijce jak w świeczniku — usłyszy wreszcie wyznanie: królowa jeziora kocha się w człowieku. Skierka rzuca jeszcze parę „kwiatowych” zgadywanek (czterolistna koniczyna, „kwiatek niech Bóg świeci” sadzony przez macochę na grobie pasierbów, biała margerytka, której piąty listek „nie kocha” zabija pasterki), zanim Goplana opowiada mu skąd ta miłość. Tej zimy spała na „skryształonym łożu” pod lodem, gdy rybacy rąbali biednym rybkom „zdradliwą przelomkę”. Wraz z hukiem wpadł do wody człowiek; padł na jej łożo, z rumieńcem na licach mdlejącym ze śmierci, tak piękny, że chciała zatrzymać go na wieki w „zimnych pałacach”, przykuć łańcuchem pocałunków. Bezsilna — bo nimfy w głębi muszą leżeć „do białych kamieni podobne” i nie mają mocy ratować — wyniosła konającego drżącą ręką i wypchnęła przez otwór w lodzie. Słyszała wtedy radosny okrzyk rybaków, który był dla niej pożegnaniem. Przez całą zimę czekała wiosny, a teraz kochanek nadchodzi przez las.

Tym wymarzonym kochankiem okazuje się Grabiec — rumiany wieśniak, syn zakrystiana. Wchodzi i z porażającą trzeźwością ocenia Goplane: „ma twarz, nogi, żołądek — lecz coś jakby szklanna”, „dziwne stworzenie z mgły i galarety”, „coś rybiego w tej dziwnej osobie”. Na pytanie, jak się nazywa, najpierw rzuca „Nic sobie” (kalambur: „nic nie przygani mojej piękności”), potem przyznaje, że jest Grabiec — żąda, by mówić mu „Grabku”. Na żądanie Goplany przedstawia swoje pochodzenie kupiecką gawędą: w wiejskim kościółku stały „ogromne organy”, jego ojciec grał na dudach — pijany pięknie, na trzeźwo „okropnie rzępolił” — i golił całą wieś jako balwierz; nie pił, gdy golił, pił, gdy grywał, i wszystko szło jak z płatka. Wziął żonę z wąsami, ogolił jej wąs, ale po jego śmierci to ona „grała po tatusiu”, aż go „na cmentarzyku wiejskim pogrzebała”. Sam Grabiec jest „pośmiertnym dziełem pana organisty”, wiernym wizerunkiem ojca — „lubi stary miodek i kocha gorzonnę” i ucieka od matki. Goplana, zachwycona, wyznaje miłość. Grabiec proponuje „skosztować” pocałunku — nimfa tłumaczy mu z powagą, że dla czystych dziewczic każdy pocałunek to spadnięcie jednego liścia z dziewiczego wianka i że raz pocałowana będzie jego na wieki. Po pocałunku Grabiec wyrokuje grobowo: „pfu... róża jest ciałem, ciało jest niby różą... niesmaczno!”. Goplana chce wieczornych schadzek nad Gopłem przy księżycu, malin i poziomek pod modrzewiem — Grabiec odpowiada krótko: „nie lubię wody jak wściekły”, nie lubi malin (dzbanki dziewczynom strąca, „ale to nie dla malin”) — a przede wszystkim nie przyjdzie wieczorem, bo „za borem pewna dziewczyna czeka na Grabka”. Tragikomiczna asymetria miłości jest tu od pierwszego pocałunku jawna: po jednej stronie nimfa, która właśnie złożyła nieodwracalną przysięgę; po drugiej chłop, który już ma „za borem” inną — i którego Słowacki w dedykacji uprzedził jako miłośnika kuchni, nie wzniosłości.

Wyciągnięte słowo „dziewczyna” zmienia ton sceny w okamgnieniu. Grabiec zdradza, że nazywa się ona Balladyna, „siostra Aliny, córka wdowy”. Goplana zna te dziewczyny i odpowiada krótko: Balladyna „złe ma serce”. Grabiec lekceważy ten sąd („nie wierzę w babskie dziwy”) i odwołuje się do prymitywnej logiki: dziewczęta o małej nóżce muszą mieć piękne usta i serce, a Balladyna „piękną ma nóżkę”. Goplana wybucha groźnym monologiem. Każe gasnąć słońcu, mówi, że choćby Grabiec miał „księżyc za ślubny pierścionek”, ona ten księżyc rozłamie. Zaklina go, by „przynajmniej dzisiaj” nie szedł wieczorem do Balladyny, bo razem zginą. Kiedy Grabiec pyta zaczepnie, kim ona jest, że tak rozkazuje, słyszy „Królowa fali, Goplana” — i ucieka w popłochu z wezwaniem „Jezus Maryja”, uznawszy, że „szatana żona chce być moją żoną”. Sama Goplana, nieprzyzwyczajona do takiej porażki, postanawia użyć przeciw temu chłopu „potęgi nadprzyrodzonej”: rezygnuje z dotychczasowych zajęć (winać tęcze, uczyć słowiki, budzić jaskółki wodne) — teraz wszystkie siły idą w służbę jej miłości.

Wzywa Skierkę i Chochlika. Skierka przyznaje się z dziecięcą skruchą, że podsłuchał rozmowę — uszczyknął biały kwiatek powoju i przez „róg” włożony do ucha słyszał wszystko. Chochlik wlecze się z marnym wiankiem zebrany z chwastów, pokrzyw, piołunu i koniczyny — Skierka prosi, by wolno mu było „wysiec” leniwego diablika za taki dar. Goplana ucisza ich i rozdaje

rozkazy. Chochlikowi: leć przy Grabcu, przed nim i za nim, jak skoczne ogniki; tak go błąkaj po murawach, żeby do rana nie trafił ani do domu, ani do chaty wdowy z dwiema córkami; o wschodzie słońca przyprowadź go do mnie. Chochlik z perwersyjną radością zapowiada, że będzie go „błąkał i sadzał w błocie”. Skierce: leć na mały mostek koło mogiły samobójcy stracha, schowaj się w zarośla łoż; za godzinę przejedzie tamtędy bogaty pan w złotych szatach „jak do ślubu”, w karocie złotem błyskającej, zaprzężonej w pięć rumaków — cztery karych i białą klacz przodem „iskry ciska”. Pod kołami ma się załamać próchniała, śliska belka. Wyraźny warunek: „nie szkodzić żywym, ani ludziom, ni koniom”. Potem zaprowadzić pana do chaty ubogiej wdowy z dwiema córkami, by tam wziął żonę i odjechał. Skierka odlatuje, obiecując: „Dziewczyna będzie kobietą, nim dwa razy słońce zaśnie”. Sama Goplana zostaje z myślą, że jeśli Grabiec jej nie pokocha — rozplynie się w białą mgłę i spadnie łzami na polny kwiat, by „z nim uwiędnąć”. Po czym rozpląwa się w powietrzu. To moment, w którym fabuła obu światów się sprzega: zazdrość Goplany staje się siłą rozdającą losy ludzi — to ona, nie wola Pustelnika ani szukającego rycerza, zsyła Kirkora pod strzechę wdowy.

Akt I — Scena III (chata Wdowy)

Wdowa wraca z córkami, Balladyną i Aliną, z sierpami po dożynkach. Czule mówi do Balladyny, że ma „rączki od słońca rozpląną się jak lodu kryształiki”, i obiecuje, że nazajutrz dokończy żniwa z Aliną, a starsza córka „posiedzi sobie za ścianą”. Alina protestuje — to matka ma odpocząć: słońce „lubi jej siwą główkę jak natrętna osa białe kwiatki”, więc obie córki idą jutro w pole. Wdowa marzy głośno: a może Bóg da im bogatego męża z królewskiego dworu, niech to będzie nawet kuchta albo koniuszy; zajedzie karetą i powie „Daj mi za żonę jedną z córek”. Już z góry przeznacza: „Panie, weź Balladynę, piękna jak dziewanna” — bo „starsza panna powinna prędzej zostać panną młodą, w rzeczulkach woda goni się za wodą”. Balladyna kwituje to suchym pytaniem o grzebień; Alina broni matki: „kiedy ona śni głośno, to jej do twarzy”. Tych kilka kresek wystarczy, by zarysować trzy postaci: matkę uwięzioną w pragmatycznej fantazji o awansie, młodszą Alinę otwartą, troskliwą — i Balladynę, która już w pierwszej replice myśli o grzebieniu, nie o matce.

Marzenie wdowy ziszcza się dosłownie. Z gościńca dolata turkot; Balladyna wybiega do okna i zdaje relację: pięć koni, złota karetka, „jak to pięknie złoto między drzewami błyska”, a powóz nagle staje na moście, „prrr... i ruszyć nie może”. Wdowa próbuje trzeźwo („pewnie chcą konie napoić”), ale to czar Skierki załamał belkę pod mostem. Po krótkim popłochu o lampę i grzebień ktoś puka. Przez dziurkę od klucza Wdowa widzi „stroje złocisto-bogate” i wpuszcza gościa. Wchodzi Kirkor, prosi „w imię Boga” o schronienie: pod kołem załamał się mostek nad strumieniem. Wdowa, oszołomiona spełnieniem własnego marzenia, gubi się w przypadkowych dygresjach (młynarz przy księżycu sprzed roku), ale Balladyna ją ucisza.

Wchodzi Skierka, niewidzialny dla aktorów, i komentuje na boku: królowa nie kazała mu wybierać między siostrami, więc on, „z niewidzialnej chmurki”, obie zaczaruje. Wkłada obu dziewczicom na głowy „sympatyczne” wieńce kwiatów, rozdzwania powietrzną muzykę i sprawia, że woń kwiatów odbiera Kirkorowi rozsądek: „że jednym sercem dwa serca pokocha”. Kirkor dziwi się słyszonym dźwiękom luteń, których w chacie nie ma, dopytuje o kadzidła i wieńce — a Balladyna i Alina szczerze nie wiedzą, o czym on mówi. Sługa donosi, że koło jest naprawione; Kirkor odpowiada przeciwnie, każe wyprząc konie z dyszła. Sam do siebie szeptem: „Prawdę wróżyłeś, pustelniku stary: gdzie okienkami dwie różyczki błysną, gdzie dach słomiany” — przepowiednia o jaskółce się ziściła, choć w istocie spełnił ją czar nimfy. Skierka triumfalnie konstatuje: „Zakończone czary”.

Kirkor wyznaje wdowie, że wyjechał na świat „szukać ubogiej i cnotliwej żony” i w jej chacie napotkał „cudowne bóstwa”. Przedstawia się jako hrabia Kirkor z ogromnym zamkiem o czterech wieżach, ze złocistym powozem, końmi i rycerzami; prosi o rękę jednej z córek. Wdowa natychmiast wskazuje starszą — Balladynę. Kirkor jednak waha się, bo widzi obie naraz: starsza „jak śniegi”, warkocz „brzozą przyodziany”, węgle pod rzęsą; młodsza różana, z fijołkami w oczach, „jak noc biała nad rankiem”. Zadaje pytanie, którego sam się przeraża: która z was mnie kocha? Balladyna wykręca się elegancko: „nie powiem »nie« — ale nie śmiem wymówić »tak« — zgadnij, rycerzu”. Alina, z dziecięcą prostotą, rzuca się na łono matki: „Kocham”. Kirkor pyta dalej, jak będą go kochać po ślubie. Balladyna składa wówczas pierwszą ze swoich nieumiarkowanych przysiąg: jeśli każe, wskoczy w ogniste czeluście zamku; jeśli ksiądz nie da mu rozgrzeszenia, weźmie na siebie jego śmiertelne grzechy; jeśli mierzy w niego dzida, stanie przed nim i zginie. Wdowa krzyczy z dumą: „Weź! weź Balladynę, szczerą jak złoto” — co w ustach Słowackiego jest wyraźną ironią. Alina odpowiada krótko: „Kochać i być wierną”.

Kirkor mimo testu nie umie wybrać. Alina wyklada swój własny warunek: jeżeli ją wybierze, musi wziąć do zamku także matkę i siostrę, bo „któż będzie matce garnek gotować, ogień rozniecać”, kiedy ona zamieszka w pałacach. Pokazuje na siwiznę matki: „patrz, ona siwa jak różyczka biała”. Kirkor zachwycony tą szlachetnością czuje, że wybrał — ale wdowa od razu wtrąca, że i Balladyna mówiła to samo „w sercu i w myśli”. Balladyna potwierdza: „Byłabym poczwarą, żebym się matki kochanej wyrzekła. Prócz matki, siostry, wszystko ci poświęcę”. Decyzja znów wisi. Wreszcie Skierka, niewidzialny, śpiewa Wdowie do ucha podszept rozwiązania — „Matko, w lesie są maliny, niechaj idą w las dziewczyny. Która więcej malin zbierze, tę za żonę pan wybierze”. Wdowa, nieświadoma podpowiedzi, oznajmia ją jako swój własny pomysł: nazajutrz rano dziewczęta wezmą dzbanki z czarnej gliny i pójdą do lasu na maliny; która pierwsza przyniesie dzban pełny, ta będzie żoną. Kirkor zachwyca się „złotą prostotą” tego pomysłu — nie wie, że właśnie dał się włożyć w plan ducha jeziornego, a wdowa nie wie, że plan ducha trafia bezbłędnie w jej własną rachubę. Wdowa zaprasza go do alkowy, gdzie czeka „pachnące siano zakryte bielizną”. Kirkor klaszcze, każe słudze przynieść z karety

puchar kryształowy, wino i zimne pieczywo żubrowe, żegna „piękne narzeczone” i odchodzi do sianka.

Zostają same. Alina jest oszołomiona szczęściem: „jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową” — nawet jeśli sama nie wygra, będzie siostrą hrabiny. Pożartowuje, że na nią maliny „same się tłoczą”, a może na siostrę „się tłoczy... kochanek”. Balladyna ucisza ją gwałtownie. Alina, jeszcze niedopowiadając, dodaje cicho, że ona sama nie porzuciłaby kochanka „ani dla rycerza, ani dla króla”. Spoza chaty słychać kłaśnięcie — sygnał. Balladyna zapala świeczkę, kryje ją w dłoni i wychodzi. Alina zostaje sama, by powiedzieć (też do widza) co wie: siostra umawia się z Grabcem; widziała ich „na kwiatkach ugora”, pod osiną „sto pocałunków” — a teraz „pan Grabek” miałby się dowiedzieć o tej zdradzie. Klęka i ufnie modli się o pomoc w jutrzejszym konkursie: skoro Bóg daje jaskółkom muszki, niech jej zsyła pod stopy maliny. Skierka, niewidzialny, śpiewa nad zasypiającą Aliną kołysankę „Niech sen szczęścia pozłacany...” i leci do Goplany. Alina powtarza przez sen: „Wszędzie maliny! maliny! maliny...” — i tak kończy się Akt Pierwszy. Już teraz wiadomo, że jutrzejszy konkurs malinowy nie będzie naturalnym losowaniem, lecz starciem czterech sił: zazdrosnej Goplany, zaczarowanego Kirkora, modlitwy Aliny i nocnego romansu Balladyny z Grabcem.

Akt II — Scena I (las nad Gopłem o wschodzie słońca)

Kurtyna podnosi się nad upokorzeniem Grabca: pijany i obłocony w „czerwonym błocie trzęsawic”, przyprowadzony przez Chochlika, padać chce już pod pierwszym dębem. Cała rozmowa toczy się w komicznym pijackim transie — Grabiec nazywa Chochlika raz psem, raz kotem („chciałem cię pogłaskać, a ogień wytrysnął”), bracza się z dębem („dąb przyjaciel grabiny... patrz, biedaczek mdleje”), odmawia pójścia do karczmy („jeśli karczma dama kocha mię, jak ja kocham, to nadejdzie sama”), prosi „psa” by poszukał zająca — „strzelę gromem”. Chochlik wypomina mu noc spędzoną w kałuży, „kichali — mój nos w nos waćpana”, i jak „trzcina ratowała dudę”. Wreszcie Grabiec kładzie się i zasypia, prosząc Chochlika, żeby zaniósł jego spodnie do praczki. Chochlik, kwitując komentarzem „Co za głupie stworzenia ci ludzie!”, odsuwa się — i wpuszcza na scenę panią.

Goplana przychodzi ze Skierką. Patrząc na śpiącego, prosi, by zorza rzuciła mu pierwsze blaski na twarz, ale rosa złagodziła słońce, by go nie raziło. Chochlikowi przyznaje obiecaną nagrodę: „orzech świstun, zgniłą pełny tabaką”, którą diablik chce dwa dni „częstować hiszpanką chłopstwo pijane”. Potem Skierka opowiada jej, co stało się w nocy. Alina, „wzywając boskiej pomocy”, usnęła cicho. Balladyna zaś zapaliła świeczkę i wyszła na kłaśnięcie z osin; Skierka leciał za nią. Opis tej nocnej przechadzki jest osobnym arcydziełem miniatury: szła po murawach „jak mglista mara”, „płomyk świecy przez różowe szpary białych paluszków” błyskał i gasnął, ćma zwijała wokół niej „złoty wianeczek”; w osinie ktoś jej odpowiedział — i Skierka,

niechętnie, potwierdza Goplanie ruchem ręki, że to był Grabiec. Goplana wybucha; karze Chochlika za niedopilnowanie — Skierka ma zamknąć go w muszli ślimaka, „jak kota w łodzi” puścić na Gopło. Po chwili Skierka wraca z raportem: Chochlik „w powozie nieboszczki żaby” już płynie po strumykach na jezioro.

Sama Goplana rozważa, jak ukarać kochanka — fantazjuje o oplecieniu go błękitnym powojem na śmierć, ale przerywa: kochanek wyszedłby z tego wianka żywy, a to ona, „kochanka rozplomieniona miłością”, w nim by zginęła. Wybiera karę z trwałą lekcją: każe Skierce wyciąć w łozie pręcik, próbuje obudzić Grabca piśszczotliwym wezwaniem („obudź się, kochany! powiedz, dlaczego?...”) — w odpowiedzi słyszy senne ziewnięcia i absurdalne wymyślenia („podaj mi borowik za poduszkę... idź do stawu, rybo, koczkanie”). Na to pada zaklęcie: „Wrośnij w ziemię i z tej ziemi wyrośnij korą odziany i liśćmi płaczącymi”. Grabiec tonie w ziemię, w jego miejscu wyrasta wierzba płacząca. Goplana wpisuje przemianę w mit przyrody: niech wierzba skarży się, kiedy ptaszek ją trąca, niech wiatr roznosi jej listki — Skierka ma przysłać słowika, by ją nauczył „kochać i płakać”; żaden zaś „dziób kruczy” nie ma śmieć kraknąć nad nią pieśni pogrzebu, „bo ta wierzba nie umarła”. Skierka komentuje z podziwem: „wierzba wyrosła z człowieka i piękniejsza niż był człowiek”. Tym samym Słowacki w połowie aktu osadza w lesie kolejne metamorficzne tableau — Grabiec, który ledwo godzinę wcześniej całował Goplanę z odrazą, teraz stoi nad polaną jako milczące drzewo, „sękowym okiem spod korzanych powiek” wypatrujące dziewicy.

Zaraz potem Skierka melduje, że nadchodzą córki wdowy z czarnymi dzbankami. Goplana i Skierka kryją się w gęstwinach. Pierwsza wchodzi Alina. Pod każdym krzakiem leżą dla niej „różowe” maliny z rosą na perły kryształową, „takie koralowe jak usta Kirkora”. Fiołki próbują ją zatrzymać, ale ona je zbywa — nie ma czasu, „bo siostrzyczka zbierze dzban pełny malin i weźmie męża, a ja z fijołkami zostanę panną”. Idzie ze swoją prostodusznie szczęśliwą piosenką: „Mój miły! mój miły! Złoty wielki pan. Mojemu miłemu niosę malin dzban, bo on woli, mój kochanek, taki pełny malin dzbanek niż zbożowy łan”.

Drugą wchodzi Balladyna. Jej krajobraz jest dokładnie odwrotny — „jak mało malin! a jakie czerwone by krew”, a niebo „jakie zapalone jak krew”. Skarży się słońcu: „czemu ty, słońce, wschodzisz krwawo? Noc wolę ciemną niż taki poranek”. W jej rosie nie ma pereł, są lzy „śród jagód obłąkanej rozpaczy”. Z głębi lasu zawołanie Aliny: „Siostrzyczko moja! siostrzyczko kochana!”. Wraca Alina — z pełnym dzbankiem brakuje jej tylko jednej maliny, prosi siostrę o jedną. Konfrontacja zaczyna się z miejsca: „Co ty robiłaś?” — „Nic”; „Wyłaż z twojego dzbanka maliny jak węże, aby mię kasać żądlami wymówek. Idź i bądź panią! siostra się zaprzęże jak wół do pługa, będzie tłoczyć olej z kolących siemion i z brzydkich makówek”. Alina nie rozumie i miarkuje siostrę z otwartą czułością: są przecież inni rycerze, jak będzie panią, „znajdę ci męża”. Na to Balladyna dobywa noża. Kiedy Alina pyta, co znaczy nóż, Balladyna kłamie z miejsca: „na węża w malinach”.

Krótką chwilą pojednawczą — Alina siada z nią na murawie, by „mówić jak dwie siostrzyczki”, i tłumaczy, dlaczego kocha Kirkora: nie dla bogactwa, ale dlatego, że jest „jak rycerz w bajce, co się rodzi z wielkiego króla i w lesie znachodzi jakąś zaklętą królewnę”. Balladyna wstaje pomieszana: „Gdybym cię, siostrze, zabiła...”. I już bez maski: „Daj mi te maliny!”. Alina droczy się z nią dziecinnie: niech siostra poprosi, niech pocałuje, „inaczej żegnaj się z malinką” — i z naigrzaniem dodaje, że dzbanek to jej „mąż, kochanek, sny złote i ślubny wianek, i wszystko moje”. „Bo?... i cóż będzie?... nie masz malin, więc suche żółędzie uzbierasz, ja prędzej biegam, ubiegnę ciebie”. Akt zatrzymuje się dokładnie w chwili największego napięcia: Balladyna z nożem, Alina drocząca się dzbankiem — w lesie, w którym ukryta Goplana czeka na rozstrzygnięcie, a niedaleko stoi już wierzba, która była człowiekiem.

Alina nagle widzi w siostrze coś, co ją parzy: „nie zbliżaj się do mnie z takimi oczyma... ja się ciebie boję”. Balladyna podchodzi, bierze ją za rękę z czułością, każe położyć się na ziemi — i kładzie cios. „Puszczaj!... oh!... konam”, pada. Z pobliskiej wierzby dochodzi krzyk Grabca: „Jezus Maryja”. Balladyna staje sama nad ciałem; krew z palca rozsmarowuje sobie palcami po czole („Krwii plama tu — i tu — i tu — i tu”) — ten gest jest znakiem pierwszej fabularnej zbrodni i zarazem pierwszą wersją „piętna”, do którego cały utwór będzie wracał. Próbuje wyrwać się z faktu („wczora mogłabym przysiąc, że nie”) i kończy postanowieniem, które rozpisuje resztę dramatu: „Na niebie jest Bóg... zapomnę, że jest, będę żyła, jakby nie było Boga”. Po czym ucieka w las.

Wchodzi Goplana i Skierka. Goplana, mimo że to ona sprowadziła Kirkora pod tę chatę, próbuje teraz odwrócić skutki: „ona ciepła, może jeszcze żywa”. Wysyła Skierkę po Pustelnika, który zna lecznicze ziółka, a sama każe cierniom i głogom uwięzić Balladynę pod kolanami, gdyby ta wracała ścigana wiatrem i „strumyka mruczącego łzami jak siostry płaczem”. Z dala dostrzega Filona — „pasterza-tułacza” — i odchodzi, by tak go pokierować, żeby on pierwszy znalazł ciało.

Filon wchodzi w swoim sentymentalnym kostiumie, w monologu do Tytana, Feba, Dyjanny i Endymiona; deklaruje, że „miłość to światło, to niebo, to życie — a jam nie kochał! biada mi!”. W tym momencie spostrzega ciało: „jak marmury blada”, „podobna do nieśmiertelnych bogiń”. Najpierw się dziwi, że samotność „popsuła źródło łez” tak bardzo, że nie umie po niej zapłakać — ale zaraz potem buduje na zwłokach całe sentymentalne nabożeństwo: jest „śmierci kochanką”, a jej ręka „miłośnicie ujęła czarny dzbanek”. Zauważa dwa strumienie czerwone — wysypujące się z dzbanka maliny i krew z piersi — i mówi prorocze zdanie: „twój zabójca od dwu będzie sumień ścigany za te dwa strumienie krwawe”. Krótko podejrzewa zwierzę, ale leżący nóż („rdzawe żelazo”) nie pozostawia wątpliwości, że to człowiek. Filon całuje umarłą i podnosi nóż, gotów się zabić. W tej chwili wbiega Pustelnik i zatrzymuje go: „stój, zabójco”. Patrząc na ciało, pyta retorycznie, czy „król Popiel zawitał” — własną traumę nakłada na obcą zbrodnię. Filon pokazuje na pierś Aliny: „niebieski kwiatek — znak śmierci wśród białego łona...

gwiazdeczka śmierci". Pustelnik każe mu wziąć ciało na ramiona; do celi, do ziółek. Filon, urywając gałązkę z wierzby na pamiątkę miejsca, słyszy z drzewa pijackie burczenie Grabca: „nie trącaj, bom pijany”. „Ta wierzba gada” — dziwi się; Pustelnik kwituje: „w lesie są szatany”; Filon: „w lesie są anieli, ale umarli”. Wychodzą z ciałem.

Wracają z gęstwin Goplana i Skierka. Nimfa współczuje wierzbie, której złamano gałąź; ze świeżej rany sączy się coś gorzkiego — Skierka rozpoznaje: „to woda z ziarenek pszenicy ogniem wymęczona, którą ci ludzie piją”. Łzy Grabca okazują się gorzałką; tym jednym dowcipem Słowacki przypomina, że nawet kara Goplana nie wymazała z niego natury. Nimfa zapowiada, że nazajutrz uwolni kochanka — niech jej wymawia, że „dręczyła go z ranka do poranka”. Po czym nadchodzi obłąkana Balladyna: „sina, okropnie blada, z rozpuszczonym włosom”. Goplana zakrywa twarz i siada pod wierzbą, by „mówić do niej siostry głosem”.

Balladyna mówi do siebie: wiatr ją goni i pyta o siostrę, drzewa krzyczą „gdzie jest siostra twoja?”. Chciała obmyć krew w błękitnym zdroju, ale z fal patrzy „blada, milcząca” twarz Aliny. Trafia pod tę samą wierzbę i nagle słyszy: „Siostro...”. Goplana udaje Alinę i prowadzi przewrotną grę: czy zabiłabyś ją po raz drugi? Balladyna machinalnie szuka noża i wyrzuca z siebie: „to nie moja wina”. Goplana proponuje wybawienie: a gdyby siostra obudziła się i opowiedziała sen — „przyjechał rycerz, rycerz był upiorem, upiór dwie siostry pokochał szalenie i obie wysłał na maliny... siostra mnie nożem... wtem się obudziłam... chodźmy do wróżki, niech sen wytłumaczy”. Balladyna chwytą tę myśl jak liny: „To sen”. Pyta jeszcze o rycerza; Goplana mówi: „Zniknął... to sen”. I dopiero wtedy: „Ale ja żyję”. Balladyna szeptem reaguje: „Bogdajbyś umarła! to sen — ha?... rozum już przywyknął do twojej śmierci. Skoro bym otarła krew z mojej ręki... byłabym szczęśliwa”.

Tym pragnieniem Goplana skupia w jednym geście sąd. Odślania twarz: „Bańka z kryształu, którą wichry wydmą z błękitu fali”. Ogłasza, że nie wyjawia tajemnicy ludzkiemu światu — zostawi Balladynę „przeznaczeniem spójną z ręką rycerza i ze zbrodni ręką”, bo „ręka zbrodni dalej zaprowadzi”. Ale wpisuje w nią karę, którą będzie się mściła nie ona, lecz „natura zbrodnią pogwałcona”: każda malina, każda lilia i róża „i na ślubie, i po ślubie” będzie czerwona „plamami szkarłatu”; wierzba wyśpiewa ją korą; lękać się trzeba „drzewa, kwiatu”. I głównego znaku: „na czole plama zostanie czerwona, nie zejdzie z czoła”. Daje jej dzbanek Aliny i każe iść do chaty. Balladyna odchodzi w milczeniu. Goplana sama jeszcze stwierdza, że ostrzec byłoby próżno; idzie biegać po falach Gopła, by „o blasku miesiąca wrócić słuchać, jak szumi ta wierzba płacząca”. Tym samym świat fantastyczny od tego momentu już nie ingeruje w fabułę — wycofuje się do roli obserwatora, dając zbrodni jechać dalej własną mocą.

Akt II — Scena II (ganek chaty Wdowy pod lipą)

Kirkor i Wdowa czekają na powrót córek z lasu. Kirkor pyta wprost: która będzie pierwsza? Wdowa zwleka — najpierw Balladyna, „bo ona pierwsza w kościele”, potem dodaje, że Alina też jest pierwsza, w końcu kwituje: „Bogu to wiedzieć”. Zwierza się z dziwnego niepokoju, który przyśnił jej się w nocy: a gdyby tej wiosny w borze nie było malin? Zaraz sama się ucisza dydaktyką gospodyni: „koń przy żłobie, gdy nie ma owsa, zajada siano; jeśli dziewczęta malin nie dostaną, nazbierają poziomek”. Niewidząca, że właśnie powiedziała Kirkorowi, iż test jest poniżej godności prawdy, dorzuca zarzut całemu stanowi szlacheckiemu: „Wam tylko złoto, złoto, zawsze złoto”. Kirkor zaprzecza i sentymentalnie chwali wieś — „ten powiew poranku, ta twoja cycowa suknia, choć gruba”. Wdowa próbuje czytać w naturze: po pewnym ruchu jaskółki sinej („zamiast wylecieć, kryje się pod słomą”) wnioskuje, że wraca Balladyna, bo Alinę witają w belkach jaskółki świergotem — chmurka „małych, czarnych gwiazdek nad białą gwiazdką”. Te kilka kresków o powrocie pokazują, co Wdowa, mimo jawnego faworyzowania starszej, naprawdę wie o swoich córkach.

Balladyna wchodzi „ze spuszczoną głową” — w ręku ma czarny dzbanek Aliny. Kirkor bierze dzbanek, wkłada jej na palec brylantowy pierścionek („oby nam życie było słodkim rajem”), każe iść do komnaty, gdzie swatki zaplotą warkocz i przetkną świeże kwiaty; sam jedzie po księdza, ślub za godzinę. Wychodzi. Wdowa, widząc bladość córki, pyta, czy nie chce „uciec jak sarneczka od łożnicy proga”. Wtedy pada kłamstwo, które trzyma cały Akt III: „Ach, nie dasz wiary. Ale Alina... ta siostra młoda i tak kochana... Uciekła”. Jakiś „obdarty młokos chodził za nią, szeptał jej do ucha”; Alina, „wyrodne dziecko”, uciekła z nim. Wdowa wybucha przekleństwem: „Więc idź aż do piekła!... matki się wyrzekła... matka ma smoczy płód zamiast serca, można serce krajać, to się kawałki węża znowu sprzeda jak płótna kawał”. W kobiecie, która godzinę wcześniej marzyła o złotej karecie dla starszej córki, błyska teraz wściekła wyobraźnia ofiary — i już ta wściekłość będzie aresztowana przez ślub starszej, który Balladyna każe matce w milczeniu pochwalić.

Wdowa łka („chciałabym ją łąać, przeklinać, dręczyć... jak noże wlepiłabym w łono — ale co płakać... nie, nie, nie”) i zaraz wraca do nadziei matczynej: „Ale ona może wrócić. Jak sama kiedy siądzie nocą przy oświatce, pomyśli: gdzie matka?”. Dochodzi weselna muzyka. Wdowa, oszołomiona awansem („ty teraz skarbem moim”), prosi córkę o czoło do pocałunku — i widzi plamę „jak krew czerwona”. Balladyna z przerażeniem powtarza „Krew?”; Wdowa próbuje zetrzeć, sądząc, że to ślad maliny — ale plama tkwi „jak rubiny w pierścionku”, „jak listek czerwony na osieci”. Każda próba potarcia tylko ją wyostrza. Balladyna w końcu odsuwa matkę: „nie dotykaj”; Wdowa biegnie po wodę spod topoli, „gdzie piją wróble”. Zostaje sama z zaklęciem: „Plamo krwawa, znikaj!” — i nadchodzą Swaty i Drużki. Pieśń weselna („Nie odwracaj czoła, wstydliva dziewczyno”) spotyka się z odpowiedzią dziewic („chcą nam ciebie wydrzeć swaty, niech cię bronią białe kwiaty twego wianka”). Dziewice podają jej kosze z

różami. Balladyna patrzy na nie i krzyczy: „Precz! Odkąd zaczęły kwitnąć białe róże z czerwonymi plamami?” — i ucieka do chaty. Jedna z družek (Goplany kłątwa zaczyna pracować po fabule): „Pogardziła kwiatami, które ja przynoszę, ja, dawna przyjaciółka”. Z chmury pyłu na drodze wybłyska złota karetka z księdzem — „przy tej karecie słońce zdaje się mosiądzem” — i akt drugi się kończy ślubem.

Akt III — Scena I (dopalające się pogorzeliśko chaty Wdowy, gromadka wieśniaków)

Otwarcie aktu jest sądem chóru wiejskiego nad rodziną Balladyny. Pierwsza kobieta z zawiścią: „ta nędzarka, ta wdowa ze swoją kokoszą, w złotej karecie błotem na nas biednych bryzga”. Druga kobieta — łagodniej: „gorzko, że nam się to wyślizga, co się drugim dostało”. Starzec broni Wdowy: leczyła ubogich, „sam ojciec Adam mógłby ją wziąć za żonę, lepiej mu przypadła niż Ewa”. Druga kobieta przypomina, że Wdowa uratowała jej syna Staśka — postanawia wymościć wóz sianem i pojechać w odwiedzinach do zamku z wiankiem z róż polnych i bławatków. Starzec wskazuje pogorzeliśko: chata została spalona, „widać, że się wstydzą chaty, słomy, bławatków i nas”; mówi prawdę nie nazywając, że to Balladyna zarządziła spalenie domu, w którym była dzieckiem. Dziewczyna pamięta z wczorajszego ślubu obraz, który ma znaczenie szyfru: panna młoda nie miała wianka, lecz „wstążkę czarną na czole”, w warkoczach miała równianki nie z białych róż, lecz złote, twarz „bladą jak upiór”, a uśmiech taki „hardy”, że „zębów ani widać”. Inna dziewczyna dorzuca starą wiejską plotkę: Balladyna od dawna „przeznaczona” była na grabinię — „bo miała wziąć za męża Grabka pijanicę”; tej zażyłości („zwąchali się z Grabiczem”) ma być dowodem nieobecność Grabca na ślubie. Pierwsza kobieta podejrzewa, że Grabiec „poszedł do jeziora z rozpacz”; dziewczyna mityguje to czarnym humorem: „niełatwo wisusowi utonąć”.

Wchodzi sam Grabiec, otoczony „wiejską dziatwą jak kania od wróblów”. Sprawia wrażenie kogoś świeżo wytraconego z zaklęcia. Na pytanie, gdzie był i co robił, odpowiada krótko: „Rosłem” — co dzieci od razu przekręcają na „On był osłem”. Grabiec broni się powagą człowieka jeszcze obolałego od kary: „milcz, przeklęty tłumie, bo mi się zdaje, że liśćmi szumię. Gdybym przynajmniej miał tyle gałązek, co miałem wczora, nie szczędziłbym wiązek na wasze plecy”. Starcowi tłumaczy serio, że był wierzwą, że „dotąd korą świerzbi”. Starzec wyciąga z niego logiczne potwierdzenie — wprzód niż wierzwą, był w karczmie i pił — więc cała przemiana to dla niego sen po pijanemu. Dopiero kiedy Grabiec szuka oczyma chaty wdowy, dostrzega prawdę: „A gdzie ta chata?”. „Tu!” — odpowiadają mu drwiąco. Druga dziewczyna nakłada mu na głowę uplecony naprędce grochowy wianek; dzieci śmieją się chórem: „groch na wierzbie rośnie zamiast gruszek; żoneczka w złocistej smyknęła kolesie; żeń się, Grabku, z miotłą czarownicy”. Starzec litościwie wyprowadza go do karczmy „przy miodu szklanicy”, obiecując, że tam mu wszystko opowie. Cała scena jest ludowym wariantem kłęski Grabca: ze

świata symbolu, w którym dostał metamorfozę i mowę słowika, wraca do świata, w którym dostaje grochowy wianek i drwinę dzieci.

Akt III — Scena II (pyszna sala w zamku Kirkora)

Balladyna wchodzi sama, w bogatej szacie i z czarną wstążką na czole — to wstążka, która zasłania plamę. Monolog: „Więc mam już wszystko... teraz trzeba używać... być jak ludzie, którym spadło z nieba ogromne szczęście”. Pociesza się, że „tylu ludzi większych grzechów się dopuścili i żyją”; przyznaje jednak, że sumienie „rankiem nudzi, nad wieczorami dręczy i przeraża, a nocą ze snu okropnego budzi” — mur sali powtarza za nią „O gdyby nie to!”, co jest pierwszym znakiem, że zamek odpowiada na jej myśli echem.

Wchodzi Kirkor — już zbrojny, z rycerstwem. Pyta krótko: „Jakże ci w moim zamczysku?”; odpowiedź: „Spokojnie”. Fon Kostryn melduje, że rycerze zbrojni czekają przed broną. Kirkor wyjeżdża na trzy dni; cel tacić, „sobie przysiągł”. Balladyna nie chce go puścić, klnie pod żartem („bogdaj ogień gromu rzucał przed konia podkową, może piorunem przerażony koń wróci w bramę”); Kirkor odpowiada wzniosłym aksjomatem: „niechaj wie człowiek, że mu Bóg pożyczył życia na krótko, niechaj odda w czynach, co winien Bogu”. Całuje ją w czoło, ale po pocałunku robi pierwszą uwagę o jej znaku rozpoznawczym: „nie lubię tej wstążki, czoło należy do mnie, czoło całe, rozwiąż tę wstążkę”. Balladyna tłumaczy: „mężu, uczyniłam ślub” — ślub po siostrze (Alinie). Kirkor godzi się prowizorycznie, ale stawia warunek: „gdy powrócę, to wiedz się z Bogiem, ale mi się wyłam z takiego ślubu”. Wzywa „chamów na koń”, każe wartom czuwać, prosi „wspominaj mnie” — i wychodzi. Drobną kwiatką tej sceny: Kirkor, który niedawno radował się złotą prostotą, teraz mówi w salonowych metaforach, że „prawdziwe pocałowania dają się oczyma, a biedne usta muszą jak pierzchliwe jaskółki chwycić miódową pocałunku muszkę”.

Balladyna zostaje sama, by usłyszeć w sobie głos, który nazywa „sumnienia węzłem”: „Mąż odjechał szukać Aliny... ona w grobie... lecz jeśli znajdzie grób?” — w uśmiechu pożegnania słyszy podszept: „przywiozę ją tobie, a zdejmiesz wstążkę, jak przywiozę”. W tym momencie wraca Fon Kostryn — z prośbą Kirkora, aby pani jeszcze przez okno pożegnała męża uśmiechem. Balladyna staje w oknie i mechanicznie się uśmiecha; Kostryn komentuje na boku: „Mężowie, żegnani żon uśmiechami, sami we łzach mokną”. Po jej powrocie od okna zaczyna się rozmowa, która już teraz wytwarza między nimi przestrzeń romansową. Kostryn przedstawia się: dowódca warty zamkowej, „z niemieckich książąt rodzę się”, wygnaniec, „jak biedny ptaszek spod płonących dachów” porzucił ojczyznę, obcy „własnej ojczyźnie, sługa w obcym kraju”. Mówi do Balladyny dwuznacznie: „my oboje będziemy czuwać, ja nad aniołem — ty, anioł, nade mną”; gdy ona reaguje zdziwionym „Co?”, precyzuje: „ty jesteś z rajów” — i odchodzi. Sama Balladyna w nadzwyczaj odsłaniającym monologu przyznaje sobie wprost:

„Jak się ja prędko poznałam spojrzeniem z tym cudzoziemcem... szukałam okiem przerażonym w tłumie kogoś. Wierzyłam, że tu być powinna bratnia mi dusza... dusza moja... z moją". Dodaje memento: „dziwnie, że się ludzie boją ludzi jak Boga i więcej niż Boga. Będę odważną z ludźmi". Kostryn nie jest dla niej pokusą erotyczną — jest projekcją bratniej kondycji moralnej, do której się przyznaje.

Wchodzi Wdowa w świątecznym (chłopskim!) ubiorze — ten sam strój z drugiego aktu, „cycowa suknia" świąteczna. Dziwi się, że królewic „nazajutrz po ślubie zaniechał żoneczki młodej", podejrzewa kłótnię, próbuje opowiedzieć sen, w którym Alina „aż z nieba przyszła, jakby w morzu płynąc w obłoczkach", coś mówiła. Balladyna ucina ostro: „Różaniec mów lepiej, matko". Wdowa się zżyma — „Czy ty chcesz kaganiec włożyć na usta matce?". Balladyna z pierwszą frazą pańską: „zamek nie chata, tu zatrudnień chmara, tu nie snów słuchać". Wchodzi sługa — meldunek o „jakiejś hołocie" przy bramie obcina rozmowę.

Przy bramie stoi „chłopianka stara" Barbara, dawna przyjaciółka Wdowy, na drabiniastym wozie, wykrzykując, że ma być wpuszczona w odwiedziny. Wdowa miękko zaczyna: „to moja kuma... jakie tam nowiny?" — Balladyna jednym słowem ucina: „Odprawić ten wóz". Wdowa próbuje protestować („Co? klatką? tym drabiniastym wozem?"), ale córka tłumaczy się żartem i każe powiedzieć, że pani śpi; do sługi dorzuca chłodny komentarz, że gdyby się upierali, „warty czuwają w zamku". Wdowa kapituluje natychmiastowo — sama dorabia ideologię: „gdyby przyjmować, toby tu jak z roja sypało chłopstwo. Niech nas kochają z daleka". Z tego samego oddechu prosi jednak córkę o nową sukienkę: „bo już ta cycowa ma blade kwiatki, a jak tu kobiecie w szarak się ubrać?". Balladyna zbywa „to jutro", radzi staruszce nie wychodzić z komnaty. Wdowa ze zwyczajowym sentymentem dopytuje o czerwoną plamę („Czy boli ciebie? Ty nigdy nie kwokasz, kurko, choć boli"), zauważa, że woda spod topoli plamy nie zmyła, że córka „bladnie, by o niej wspomnieć". Balladyna ucina: „dosyć już, matko". W odpowiedzi pada zdanie, które kondensuje pierwszy ruch wyrzeczenia: „Matko, idź teraz do siebie na wieżę". Wdowa, niewierząca jeszcze, że dostała pokój wieżowy: „Do mojej ciupy?". Balladyna — „Idź, matko!". Wdowa odchodzi w komicznej rezygnacji: „z moją siwą kosą będę się bawić". Sama Balladyna, z pełną świadomością, formułuje pierwszą paranoję włożoną tu w niezwykle plastyczną figurę: „Ludzie jako szpaki uczone mowy, przez okropną władzę sprawiedliwości, nie myśląc o mowie, tak mówią, jakoby tajnymi szlaki dążyli ciągle w głąb serca. Surowie kładą sędziego pytanie: czyś winna?". I dodaje samoocenę: „Trzeba ją kochać, to matka" — z intonacją obowiązku, nie miłości.

Wchodzi Kostryn z informacjami o wieczornym przyjęciu — pokoje obite złotogłowiem, dziś dzień poślubny, zjadą się wasale i rycerze. Balladyna każe zamknąć wieżę, w której jest „moja — mamka — ona chora, snu potrzebuje". To słowo „mamka" jest punktem zwrotnym jej kłamstwa rodzinnego: matka jest już prywatnie odsunięta i publicznie wykreślona. Kostryn natychmiast łapie podpowiedź i wzlatuje w salonowy komplement: ta mamka „chyba bogini niebieska, co na

błękity łała drogi mleczne" i z białych piersi karmiła Balladynę. „Złote masz usta”, odpowiada ona; „ty dyjamentowe serce”, on. Kostryn melduje, że nad brzegiem Gopła zapali smolne beczki i „ogniowe słupy”, że tylko wybrani goście wejdą do zamku. Wtrąca, że „jakiś prostak bez pamięci wdzierał się tutaj, kazałem go psami poszczuć za wrota... Grabiec”. Balladyna kwituje sucho: „Tego chłopstwa chmura to jak szarańcza” — wymazując pamięć o własnym kochanku. Kostryn niemal otwarcie się oświadcza („z tysiąca tysięcy możesz być pierwszym, byłeś tajemnicy umiał dochować”) i przyklęka, by ucałować skraj jej szaty. Razem idą do skarbnicy „zaczepnąć nieco złota”. Kostryn niesie pochodnie.

Akt III — Scena III (las przed chatą Pustelnika)

Pustelnik wręcza Kirkorowi ukrytą złocistą koronę Lecha: „może kiedyś za twoją pomocą wróci na Gnezno i niezakrwawiona błysnie ludowi”. Słońce promienieje na złoto — dobra wróżba. Pustelnik dodaje radę, która stanie się jednym z najważniejszych mechanizmów dramatu: o młodej żonie wtedy można sądzić ufnie, jeśli jest „wolna od wad matki Ewy”. „Doświadcz ją. Poślij zapieczętowaną skrzynię małżonce i srogimi gniewy zagroź, jeżeli znajdziesz rozłamaną pieczęć małżeńską”. Wynosi żelazną skrzynkę. Kirkor zgadza się; jego pieczęć — „dwie złote żołędzie w paszczy dzikowej” — przyłoży do wieka. Wzywa wiernego sługę, wysyła skrzynkę żonie z bezwzględny zakazem otwierania, „jakkolwiek długo będę się bawił”. I dorzuca naiwną ocenę: „Ona taka szczerka!”. Kirkor odjeżdża z koroną, „na koń, rycerze!”. Pustelnik za nim, sam: „Czemu się ten rycerz dwudziestą laty pierwej nie urodził? Byłem na tronie, to kraj cały płodził same poczwary; jak niezdatny snycerz... Przyrodzenie naprzód tworzy karcze, a potem ludzi jak Kirkor”. To gorzka ocena własnego panowania: rządziłem światem szkiców, dziś dopiero stwarza się człowieka dokończonego.

Wchodzi Filon w swym fantastycznym stroju i pyta o mogiłę Aliny. Pustelnik z brutalną gospodarczością odpowiada: „Gliny surowe pierś już wyjadły, a po białej twarzy robactwo łązi”. Filon nie przyjmuje tej wersji; widzi Alinę jako nimfę rzek opartą na glinianym dzbanku, który leje malinowymi gwiazdami; z grobu wyrosną niezapominajki, brzozy lutniowe, srebrne piołuny, bławatki — duch jej miałby zdmuchiwać kwiatki cykorii. Pyta wprost: „ludzie w mogile marzą o szczęściu?”. Pustelnik: „Umrzyj, to się dowiesz. A jeśli wrócisz z grobu, to opowiesz o tych marzeniach sumnieniom zbrodniarzy, a może będą spali cicho w łożu”. Pustelnik tym jednym zdaniem łączy wszystkie linie dramatu: i ślepego marzyciela, i ranę Balladyny, i kuratelę nad koroną — wszyscy oni czekają na jedno, by Alina wstała. Filon odchodzi do leśnego rozdroża, by rzucić zakład: jeśli jaszczurka pobiegnie w prawo, „w grobie się marzy”; jeśli w lewo, „człowiek nic kona i nie śni”.

Wbiega Balladyna („Pani z bliskiego zamku”) z prośbą o lek na ranę. Pokazuje czoło. Pustelnik widzi „niby miesiąc w mglistym kole krwi”, pyta o winę. Balladyna kłamie: „czerwona malina

splamiła czoło, wczora rano". Pustelnik kładzie jej dłoń na sercu i prowadzi serię pytań, które są spowiedzią pozorowaną na badaniu: „Czy pod zapłakaną wierzbą nie rosły maliny? Czy ta malina była kiedyś białą? A tyś ją może sama szcerwieniła? Przyłóż do serca tę, co cię zraniła, malinę...". Odpycha ją gwałtem: „Biada tobie! Tyś siostrę zabiła!". Balladyna proponuje złoto — „jeszcze tyle troje przyniosę" — i Pustelnik wraca pytaniem nożowym: „za co płacisz?". Balladyna upiera się w kłamstwie: „za twoje leki". Wówczas pada klątwa, którą można czytać jako uzupełnienie wyroku Goplany — moralne, nie kosmetyczne: „Bogdaj rana gniła, aż cienie śmierci na całą twarz padną; a moje zioła piekła nie ukradną i bólu". Z ironią obiecuje, że obudzi siostrę: „siostra niech siostry zawoła! umarła wstanie i tę ranę zmaże. Chcesz?". Balladyna odpowiada zdaniem, które ostatecznie pieczętuje jej moralną pozycję: „Gdybym miała trzy wybladłe twarze, na każdej trzy straszniejsze plamy, wolę je nosić aż do Boga sądu, niż...". Pustelnik wybuchą: „Milcz, zbrodniarko! Teraz my się znamy do głębi serca. Niechaj z tego trądu lęgną się w mózgu gryzące robaki, w sumieniu węże; niech kąsają wiecznie, aż umrzesz wewnątrz, a zgniłymi znaki okryta, chodzić będziesz jako żywe trupy". Zapowiada: „jutro rano na murach zamku ujrzysz Boga palec". Balladyna ucieka z groźbą „Biada ci! Biada!".

Pustelnik sam, w pierwszym z tych moralistycznych monologów, które tu zastępują chór: „Zbrodnia jak dzięcioł w drzewa bije suche, a cięcie noża daje takie głuche echo jak topor kata, kiedy rąbie głowy na pniaku. Bóg to wszystko słyszy, wszystko zamyka w tej okropnej trąbie, co kiedyś będzie na sąd wołać ludzi". Z lasu dolatuje śmiech — „wiedzma goplańska z diablików orszakiem" drwi z dębów i brzoź. Słysząc dalej tętent łowów: „mglistymi psami mgliste pędzi tury błyskawicowym wichrem oślepienie". Wreszcie z głębi Gopła dochodzą dzwony zalanego przed wiekami miasta — „może jaki krzyżyk wieży sodomskiej między lilijami widać na fali". Pustelnik odchodzi przeżegnać „miasto potępione", w nadziei, że pod modlitwą starca „snem cichym zaśnie w pogrobowej fali, jak potępiony człowiek, za którego dziecię się modli".

Akt III — Scena IV (las jak poprzednio)

Skierka i Chochlik wracają na scenę po odejściu Pustelnika. Chochlik patrzy za nim: „Poleciał... głupi jak wrona". Skierka spostrzega coś istotnego: starzec zostawił koronę Lecha na kamieniu. Skierka bierze ją i postanawia, że na włosach Goplany ma „od księżycowych promyków błyskać jak wianek ogników". W tym jednym ruchu cudowna korona, którą Pustelnik dwadzieścia lat strzegł, a Kirkor właśnie wziął ze sobą jako oręż polityczny — przechodzi do świata fantastycznego. Wchodzi Goplana z Grabcem. Grabiec, najwyraźniej uwolniony z wierzy i znów rumiany, prawi do niej w komicznej tonacji nadwornego komplementu: „moja najmilsza wiedzmo, deszczowa panienko, tobie jezioro łożem, a chmura sukienką". Mówi, że gdyby był „kwiatkiem, gorczycą, pokrzywą albo rumiankiem", wstąpiłby z nią „w małżeńską zażyłość" — ale, niestety, nie jest „kwiatem ani zieleń". Jest „człowiekiem mięsnym, panienko", a od mgieł i gwiazd jego piszczele „skórę wychudłą podrą jak ostre nożyce". „Kłaniam uniżenie".

Goplana wyraża się dzisiaj w żałobnych znakach: róża jej opada na pieńku, rybak otruł złotą stynkę, chłop zabił toporem ptaszynę śpiewającą nad jeziorem i ściał srebrną brzozę. Świat fantastyczny powoli się rozkłada. Grabiec dorzuca po swojemu raport z własnego dnia: „dziś mnie sowito wierziami pod zamczyskiem Kirkora obito; to prawdziwe nieszczęście, plecy świerzbią”. Plan ma jasny: skoro w zamku „biją, a karmią wspaniale, z odkręconych dziobków u rynien w rynsztoki płynie jasna gorzałka” — wstąpi do kuchni Kirkora. Goplana, nieprzyjmując tej rejteracji do sieni rywalki, w ostatnim akcie miłości oferuje mu wszystko: władzę, bogactwa, kamyk niewidzialności, „skrzydlate kobierce, co noszą ludzi, gdzie myślą zażądać”, postać „rycerza zjawionego na chmurze szykom Lechitów, w złocie i lazurze”. Grabiec gra szczerze: skoro od stóp do głowy, „miło by mi wyglądać jako król dzwonkowy, w koronie, z jabłkiem w lewej, z berłem na prawicy” — i na boku komentuje cynicznie: „jak się teraz wywikła wiedźma z obietnicy?”. Goplana wysyła Skierkę i Chochlika po insygnia: u zorzy prosić purpury, „pereł u róży, szafiru u chmury”, a jeśli wisi gdzieś tęczowa nić — „tęczę wziąć na wrzeciona, i wić, i wić, i wić!”.

Czarnoksiężskie tableau przemiany jest szczytem ariostycznej drwiny Słowackiego. Goplana zakreśla wokół Grabca koło, każe mu zasnąć — „we śnie cię duchy ubiorą na marę twego marzenia”. Grabiec ziewa, kładzie się i z nieprzytomną grzecznością żegna sam siebie: „Dobranoc, panie Grabku... do widzenia na tronie... dobrej nocy, synu organisty, polecam się pamięci i afekt strzelisty łączę”. Po ciemności i przemarszu czerwonych chmur Grabiec wstaje już jako król dzwonkowy ze starej talii kart: siwa broda, dziwne „floresy” na piersiach, złociste obuwie z perłami rosy. Sięga ręką do głowy i znajduje koronę. Goplana stwierdza, w czym leży żart: „Nosisz prawdziwą koronę Popielów” — to ta sama korona Lecha, której Pustelnik strzegł dwadzieścia lat, którą dał Kirkorowi i zostawił niedopilnowaną na kamieniu. Berło jest gałązką wierzby, którą Filon ułamał z drzewa-Grabca („ta sama kora, którą ja porastał”); jabłko królewskie zaś, jak opowiada Skierka, to bańka mydlana skradziona „chłopakom z bliskiego sioła”, w której Skierka sam podróżował, póki konik polny nie zbił banieczki gazowym skrzydełkiem. Grabiec smakuje jabłko: „dobre... a czy winne?” — i pyta zaraz o poddanych. Goplana: „Wszystko, co na tej ziemi moją władzę czuje: ptaszyny, drzewa, rosy, tęcze, każdy kwiatek jest twoim”.

Grabiec ogłasza dekrety. Kodeks ma być wykuty w spróchniałej wierzbie. Brać w rekruty żubry, zajęce, dziki, łosie; kwiaty kąpiące listki w rosie mają płacić — „rosę puszczam w odkupy Żydowi, niech mi wódką zapłaci”. Szpakowi „nie myśleć wtenczas, kiedy będzie gadał”; rozpedzić sejmik jaskółczy z trzciny; wróble pozbawić sejmów — „ja sam będę rządził i wieszał, i nagradzał”. Jaskółkom paszporty z opisem nogi, dzioba, ogonka, skrzydła i znaków rodzimych; zakazać posyłania ich dzieci „do niemieckich zakładów, gdzie uczą papugi”; wyjątek dla srok, „które oddają usługi ważne mowie ojczystej”. Z cudzych stron osoby, „jak to: kanarki” — śledzić; cło od łockia tęczy w czterech kolorach po trzy złotniki, „a od sztuki szwabnej płótna z białych pajęczyn”. To rejestracyjna parodia szlacheckiego sejmu, polskiego protekcjonizmu i

pseudoprawodawczego ojczyźnianego entuzjazmu naraz — z lekkim szpilkowaniem germanizmu („zakłady, gdzie uczą papugi”, „sztuka szwabna”). Goplana odchodzi, prosząc, by Grabiec zjawił się wieczorem nad brzegiem Gopła. Grabiec po jej wyjściu: „aż mi lżej, że ta rybia galareta znika”. Chochlika mianuje ministrem („boś głupi”), Skierkę błaznem, każe zaprzęgać. Chochlik melduje, że na nowego króla czeka „cztery konie piękne, czarne, księżycowymi wierzgają podkowy” — „wóz Mefistofelowy” pożyczony z piekła; „ale nie mów Goplanie, bo ona nie chce pożyczać z piekła”. Grabiec kwituje to po pijacku rozsądnie: „jeśli diabeł pożycza, bierz, bo takie wozy oszczędzają ci butów”. Cel podróży: „na ucztę ślubną do Kirkora”. W ten sposób korona Lecha, dar Dzieciątka i ostatnia nadzieja wygnanego Popiela III, wyrusza piekielnym powozem na ślub świeżo poślubionej zabójczynie siostry.

Akt III — Scena V (sala w zamku Kirkora)

Kostryn wchodzi sam i ujawnia, że całe rozwiązanie znajduje się już w jego ręku: „za pustelnika całą drzewami ukryty słyszałem tajemniczą spowiedź tej kobiety... teraz panem złotej tajemnicy”. Kalkuluje opcje na zimno: mógłby krzyknąć całą prawdę z wieży, opowiedzieć Kirkorowi albo „okropną powieść wyrazami cedzić, jako piasek klepsydry, w pani trwożne ucho, aż zobaczę skarbnicę tego zamku suchą jak czoło Araratu”. Konkluzja: „Mogę mieć ją i skarby. Szczęśliwa godzina”. Staje na stronie. Wchodzi Balladyna — głęboko zamyślona, w pierwszej z fal samotnej paranoi: „O wszystkim wie ten człowiek stary... powie drzewom, drzewa będą rozmawiać o tym w głuche noce, aż straszna wieść urośnie”. Sama siebie ucisza („jak dzieci nierozumne cieniów się lękacie”) i sama na nowo straszy: a jeśli wie? jeśli przechodniowi opowie? a może ma dobre serce i przemilczy? Próba racjonalizacji: „czymże ja jestem, aby mną się ludzie zajmowali, śledzili, chcieli gubić?”. I ostateczne uznanie własnego błędu: „Tysiącem słów nie mogę zabić tego słowa: On wie. Na cóżem poszła do tego człowieka? Straciłam się; szatańska ręka mnie zawiodła”. Domyśla się rzeczy najgorszej: gdyby nie odwiedziny, wczorajsza godzina trwogi „byłaby spokojniejsza, bo wszakże wiele by się strachu przez jeden dzień zatarło tajemniczą ciszą”. Kończy zazdrością do siebie samej sprzed paru godzin: „Zazdroszczę tej, co dzisiaj rano mną była”.

Kostryn melduje gońca z darami od grafa. Balladyna pyta — niby od niechcenia — czy zna „owego żebraka, który mieszka w lesie, starego”. „Pustelnik?” — odpowiada Kostryn. Ona zbywa: „nie wiem, czemu się nawinął na myśl”. Wchodzi Gralon ze skrzynią z czerwoną pieczęcią i przekazuje rozkaz Kirkora: pieczęci ani kłódek u wieka nie ruszać, „aż sam powróci”. Balladyna w pierwszej reakcji deklaruje, że nie rozumie tego polecenia, każe powtórzyć — i wybucha. Rozpoznaje w skrzynce próbę, nie podarunek: „w Kirkora podarku widzę nieufność, nie zaś wierną miłość”. Łaje Gralona z arystokratycznym chamstwem („głupcze! głowę ciasną nosisz na karku w skorupie blaszanej, aby w niej wróble jak w dziurawym garku gniazda winęły”) i prowokacyjnie zapowiada nieposłuszeństwo: „gdyby mi szepnęła mucha, gdyby

cichego skowronka głosek podszeptął: »Otwórz«, a od dzieła szatan odpędzał ognistymi skrzydły — to wiesz, że wola moja?". Kostryn próbuje wtrącić chłodne „Grafini...” — pewnie z polityczną kalkulacją, żeby przedwczesny gniew nie zniszczył mu dostępu do skarbnicy. Balladyna ironizuje na siebie samą jako wzór niewinności: „ja tak trwożliwa, że nawet w ogrodzie po jabłko z drzewa upadłe nie sięgam. Jeśli mąż zechce, o chlebie i wodzie żyć będę, zawsze wesoła, jak wrona na cudzym płocie. Anim teraz w złości”. Daje Gralonowi czerwoną złotówkę — „weź ją i przepij albo przegraj w kości” — i prosi, by zaniósł panu wiadomość, że czeka z niecierpliwością, „lży po nim ronię, jedwabiami złotymi wywlekam szarfę dla niego”.

I tu, niby od niechcienia, zaczyna z Gralona wyciągać szczegóły drogi Kirkora. Gdzie go zostawił? — „w nadgoplańskim borze”. Gdzieś się zatrzymywał? — „u pustelnika stanął w celi”. „Boże! u pustelnika...”. Z obietnicą „garści złota za każde słowo” wymusza pełną relację — i sama dostaje w niej własne sumienie z powrotem. Gralon opowiada: pański koń nagle „dał w górę słupa, jakby się spotkał z ognistym szatanem”; Kirkor zsiadł: „Czuć w lesie trupa”. Pieszko, z mieczem, „pod wierzbę poskoczył” — „na mchu trup leżał, a piersi mu toczył wianek żelaznych gadzin”. Balladyna gasi krzyk. Kirkor uznał to widmo za „ścierwo zabitego tura — dobra wróżba dla mężnych rycerzy”. Kostryn jednak słyszy w opisie coś, czego sam Kirkor zignorował: drąży Gralona o szczegóły — „Pod wierzwą? na białym łonie trupa żelazne leżały gadziny? Gdzie wierzba kłania się ponad strumieniem? gdzie rosną maliny? blisko starca chaty?”. „Tak, panie” — odpowiada Gralon. „Przysiąż!” — naciska Kostryn, dobywając miecza. „Bo ja przysięgnę na szatana złego, że nie tur... ale... Broń kłamstwa żelazem!”. Do Balladyny: „Tego człowieka trzeba zabić”. Balladyna pomieszana, ale jednoznacznie: „Trzeba”. Kostryn napada na Gralona; biją się, a Balladyna zdejmując miecz ze ściany i zachodząc z tyłu zabija sługę pierwszym cięciem własnej ręki: „Masz!”. Konający Gralon krzyczy: „O jasne nieba! Zbrodnia!”.

Po tym ciosie Kostryn formułuje umowę: „Grafini, napadliśmy razem na tego starca: czy wiesz, co to znaczy?”. Balladyna wie. „Ja biorę połowę twojego strachu, tajemnic, rozpaczy”. To pierwsza wspólna zbrodnia kochanków — i, jak Lady Macbeth, Balladyna pyta wprost o nowego doradcę: „Co teraz robić, Kostrynie?”. Odpowiedź jest zimna i kompetentna: „Mieć głowę”. Akt trzeci zamyka się tym dwuwersem, który zastępuje pierwotne małżeństwo z Kirkorem nowym, niemającym formy, paktem.

Akt IV — Scena I (sala uczyty w zamku Kirkora, błyskawice za oknami)

Akt czwarty otwiera obraz, który jest spełnioną przepowiednią Słowackiego z dedykacji: Grabiec w koronie Lecha siedzi na pierwszym miejscu jako król-błazen. Za jego krzesłem stoją Chochlik (minister) i Skierka (błazen). Wokół Balladyna, Kostryn, szlachta, służba. Wzniesione „zdrowie jasnego króla!” Grabiec każe ministrowi dziękować w jego imieniu, błaznowi —

wzywać kolejne danie. Skierka odpowiada w żartobliwym dwuwierszu: „kuchta zamkowy nie ma nic na półmisek prócz cielejącej głowy, lecz ta, niedopieczona, na królewskim karku”. Grabiec każe upiec dwa pawie z folwarku. Kostryn po przyjmuje formę nowej dwornej obsługi: każe służbie postawić przed królem „złotnikami napelnioną tacę”. Grabiec, po królewsku, rozdaje pieniądze — rok usług z góry ministrowi („nie drzyj tak poddanych”), tysiąc żartów błaznowi („spraw nam śmiechu łaźnię”), sobie „za ciężkie panowanie”, a co zostanie — „schowajcie jutro na śniadanie”. To jeden najczystszych skrótów królowania jako kradzieży skarbcza.

Balladyna gra rolę gospodyni — „honor to dla mnie, że gość tak dostojny raczył nawiedzić mój zamek i stoły”. Pod stołem Kostryn ścisza jej rękę; ona szepcze cicho: „Chłopcze! siedź spokojny, na Boga! patrz — odgadną — zginiemy”. Goście, niby dla rozrywki, popisują się herbami: jeden „dwie trzaski”, drugi „pół ula”; Grabiec wpisuje sobie do herbu nieuchronnie własną osobę: „złote trzewiki, koronę i głowę”. Pytanie pada o herb Balladyny — Kostryn ratuje sytuację improwizacją: „pani! wszak byłaś księżniczką możnej Trebizonty”. Balladyna wchodzi w to pełnym kłamstwem genealogii, w którym Słowacki każe jej dokładnie odgrywać własną zbrodnię w cudzych dekoracjach: wuj nielitościwy ją wygnał, zagrabił dzielnicę, „bracia moi królewice zamordowani”, a matkę — „zamurowano w pałacu framudze”. W każdym z tych zdań Balladyna już opowiada przyszłość: zaraz przyjdzie kara, której się sama ogłosiła, i będzie wyglądała dokładnie tak — bracia (Alina), matka (zamurowana w wieży?). Grabiec kwituje to chłopskim współczuciem: „biedna starzyzna!”.

Słysząc z kulis: „Stój, matko!” — „Puszczajcie!” — i Wdowa wpada na salę, mokra od deszczu i pomieszana, dyga komicznie i woła: „Córko! ha! to się nie godzi zapomnieć o mnie”. Balladyna ucisza ją publicznie: „co się babie roi? co to za stara kobieta?”. Wdowa próbuje błagać jak żebraczka — kawałek chleba, kropelka mleka — i prosi tylko o jedno słowo: „powiedz: matulu do twojej matki, nie nazywaj: stara”. Balladyna: „Wziąć ją! Wyprowadzić!”. Grabiec wstawia się komicznie: „cha! cha! cha! jaka to chłopska maskara, dajcie jej pokój: trzeba ją posadzić z nami do stołu”. Wdowa siada, próbuje opowiedzieć — „to wina mojej kwoczki Balladyny, że ja w łachmanach”. Balladyna dobywa ostatecznej formy odrzucenia: „Ja ciebie nie znam”. Wdowa wzywa gwiazdy na świadków („świećcie mi, niebieskie gwiazdy, bądźcie świadki, jeśli z was który ojcem”), wypowiada zdanie kluczowe — „Urodziłam z siebie trumnę dla siebie” — i, kiedy Balladyna na znak Kostryna każe ją wyprowadzić, na progu obraca przeklęty „kawał chleba” w wyrok: „Bodaj cię chleb ten zadławił! zadławił!”. Wychodzi z deklaracją: „to czarta córka; nie moja, nie moja, nie moja”. Sala długo milczy.

Tętent zwiastuje gońca od Kirkora. Burza zatrzymała hrabiego w celi pustelnika — czeka, „aż się ta burza wygrzmi i wyblyska”. Gонец relacjonuje, co stało się wcześniej w Gnieźnie. „Koło czerwonej bramy” Kirkor samotrzeci podszedł do orszaku tyrana — Popiel jechał konno, koń jego „w powietrzu żelazne kopyta nad głowami pokornie klęczącego ludu” zawieszał. Kirkor chwycił cugle i krzyknął: „Srogi tyranie! trzema zabójstwami doszedłeś aż do tronu: idź w

piekło!" — mieczem rozciął „przyłbicę ukoronowaną" i za szaty podniósł trupa, by pokazać go ludowi. Lud zrazu oniemiał, potem rzucił się szumną falą tak, że trzy mrówki rycerzy Kirkorowych były „zalane, strzaskane, zdruzgotane"; ale w końcu, kiedy Kirkor stał z trupem w jednej dłoni i zakrwawionym mieczem w drugiej, lud uklęknął: „Niech żyje ludu mściciel! Kirkor król niech żyje!". Balladyna — z błyskiem chciwości — pyta: „Kirkor królem?". Ale goniec kończy gorzej. Kirkor odrzucił tron: „nieznany rycerz nie może przesławnemu władać narodowi... jam stworzony do ciszy wiejskiej i prostoty... pojawiwszy w małżeństwo zamiast jakiej królowny ubogą chłopiankę; ona zamiast herbowych znaków połączyła z herby moimi dzbanek pełny malin; ona niepodobna królowej". Balladyna jak ukłuta: „Niegodne kłamstwo! kłamstwo! to kłamstwo!" — nie chodzi już o królestwo, lecz o publiczne ujawnienie jej chłopskiego pochodzenia. Kirkor zaproponował zaś rzecz, która na uczcie pada jak grom: bezkrólowie i obwołanie królem tego, kto się pokaże „uwieńczony prawdziwą koroną Popielów, koroną, w której znany brylant »zmije-oko« między dwoma rubiny na trzech perłach leży". Lud się zgodził — „osierocony czeka, aż się ukaże król, dziedzic korony".

Wszyscy obecni wpatrują się w Grabca. Grabiec, sam zaskoczony: „Czemu ci ludzie patrzą na mnie jak gawrony?". Szlachta klęka: „On królem". Grabiec orientuje się w nowej sytuacji w sposób, w jaki ma to we krwi: „Los głupi jak rura! Wyskoczyłbym ze skóry, gdyby moja skóra nie była teraz skórą królewską. Sto lat! Wziąłem skórę drugą jak wąż — mam oko z brylanta. Puściłbym się po sali z grafinią kuranta, gdyby nie godność". Balladyna szepcze do Kostryna z narastającą halucynacją: „Słyszysz, jak burza się wścieka? W tej okropnej burzy słyszę głosy płaczące". Kostryn z chłodem: „To krzyk nocnych stróż". Ona: „Nie, to są jakieś głosy inne, jęk ze świata umarłych. Lej mi wina. Wszystko tak się splata, że chyba się powiesić".

Grabiec zarządza nową rozrywkę — kuchenne niedźwiedzie do tańca. Sługa: „Kulawe, pan graf podstrzelił je". Wtedy Grabiec każe Chochlikowi grać na wierzbowym berle „jak na dudzie" (a berło to przecież gałąź jego własnej dawnej skóry) — i Skierka dodaje: „zawołam echa ciemnego boru, co rzecz widziały". Chochlik gra smutną wiejską pieśń, a zmieszane głosy w powietrzu zaczynają śpiewać: „Obie kocha pan; obie wzięły dzban: która więcej malin zbierze, tę za żonę pan wybierze. Cha!... cha!...". Tym jednym refrenem cały świat, który leśna nimfa próbowała milcząco zostawić we własnej sferze, wraca do sali uczy. Klątwa Goplany — że wierzba korą wyśpiewa, że drzewa i kwiaty będą plamami świadczyć — ziszcza się w wierszowanym refrenie, którego nie da się odróżnić od piosenki ślubnej.

Balladyna pyta zimno, kto śpiewa; Kostryn ucisza („cyt... to przywidzenie!"). Cicho do niego: „patrz w twarze ludzi, a jeśli dostrzeżesz, z których ust wyjdzie pieśń, powiedz; obmyślę, co z tym człowiekiem stanie się". Każe Chochlikowi grać dalej i „objaśnić pochodnie". Druga ballada duchów uderza już wprost: „Tobie szatan stróż włożył w rękę nóż; siostra twoja rwie maliny. A ty? a ty? Nóż twój siny poczerwieniał krwią... O!". Balladyna mdleje przy stole; po chwili żywa znów każe grać. Trzecia zwrotka cyzeluje znak na czole: „Na twej czarnej brwi, niby kropla

krwi. Kto wie, z jakiej to przyczyny? Od maliny? lub kaliny? Może... cha!". Szlachcice już nie udają, że nie rozumieją: pytają jeden drugiego, czemu „zab jej dzwoni o zab”; ktoś radzi obudzić tę „kobietę bladą, co śpi z otwartymi oczyma”. Grom uderza i Balladyna budzi się. Pierwsze pytanie do Kostryna: „Czy we śnie gadałam?” — „Nie”. „Bogu dzięki”; do gości próbuje zatuszować: „lepiej zrobię usiadłszy za krosno niż przy pucharach”.

Grabiec budzi się również, przeprosza za drzemkę, wznosi „zdrowie zamku pana”, i z dziecięcą niewinnością odgaduje, co pociągnęło Kirkora bardziej od trzewików papuży i płaszcza królewskiego: „podściwy! zamiast panować, woli jeść maliny”. Każe podstolemu podać dzban malin „na pokosztowanie”. Balladyna zbiera w sobie ostatnie pokłady buty: „Słyszałam echa grobowych rozwalin, ujrzę, czy więcej prócz słów co wyrzucą wzruszone groby. Malin! dajcie malin!”. W tej samej chwili pokazuje się biały cień Aliny — z dzbankiem malin na głowie. Balladyna mówi do widma głosem rozpoznania: „Czułam cię dawno w powietrzu — a teraz widzę. Jak błyszczą oczy twoje. Ja się nie lękam — widzisz — ale ty się nie zbliżaj”. Szlachcice nie widzą cienia, słyszą tylko, jak grafini z kimś rozmawia przez stół; Balladyna prosi człowieka o rękę („ja się boję”) i krzyczy do widma: „Idź... potępiona — odnieś, skąd przyniosłaś ten dzbanek pełny czegoś, co się rusza, jak to, co w grobie”. Po zniknięciu cienia zostaje ślad zmysłowy: „Jaka woń malin! Powietrze pełne malin”. Balladyna pada: „O! umieram!”. Kostryn z bystrością dworskiego zarządcy każe lać wodę, wnosić służebne, wyprowadzać panią; po czym z zimną elegancją kończy ucztę: „pochodnie gasną. Napełnia ohydą ten stół splamiony, resztki chleba, wołu. Czy chcecie rzucać ogryzione koście wzajem na siebie, jak czynią Duńczycy?”. Każe sztabowi prowadzić Grabca do „łóża puchowego” w pobocznej wieży. Komentuje wyjście pijanych: „Jak ciężko Lachy odpędzić od strawy i od napoju; wiszą by pijawki na uszach dzbanka, przy muzyce czkawki”.

Akt IV — Scena II (las przed celą Pustelnika, burza trwa)

Kirkor żegna się z Pustelnikiem. Mógłby już teraz, „z ust żony pocałunków tysiąc wziąć na drogę”, ale wybiera odjazd nocą do Gnezna: zwoła lud, obwieści, że Pustelnik jest „dziedzicem prawym”, a kto „uwieńczony prawdziwą koroną Popielów” pojawi się na zamku — temu „mieczem wypiszę słowo zasłużone: złodziej”. Tę wizję dopełnia obraz, który już teraz, w trakcie burzy, brzmi w utworze jak ciche „inne życie”, którego nie będzie. Pustelnik weźmie na barki ojczyznę, on sam zakopie się w zamku, „niechby mi dościgał sad owocowy, niechbym małe chłopię, dzieciątko moje, na rękach kołysał”; raz w roku ma spadać „biały gołąbek” z listem od króla pełnym takich „wielkości, co budzą uśmiech i sen pod lipami dają smaczniejszy”. Kirkor odjeżdża z chamskim „hop! hop! na koń, dzieci!”.

Po jego odjeździe Pustelnik formułuje przekleństwo, które jest jednocześnie aktem litości: „Bogdajbyś ty nigdy nie znał, Kirkorze, z jakiej matki się urodzą dzieci twoje. Bogdajby za

pierwszą nagrodę Bóg uczynił cię wdowcem, nim ojcem uczyni". W stronę celi zbliża się głos: „Biedna ja! biedna!”. Wchodzi Wdowa — w lachmanach, oślepla, sunąca ręką po powietrzu. Pustelnik: „Skąd, moja matko?”. Wdowa odpowiada ostro: „Matko? O! na Boga, tak nie nazywaj, córko niegodziwa! Matka? Psia matka!”. Próbuje opowiedzieć, co się stało: na deszczu mówiła piorunom „bijcie we mnie”, chciała się powiesić „za szkaplerza sznurki na sośnie skrzypiącej, za garło — drzewo się ułamało”; „głupia, ślepa, wybrałaś gałązkę umarłą”. W kałuży „grom czerwony wyjadł z powiek oczy, wyjadł do szczętu”. Pustelnik upewnia się: „Ośleplasz?”. Wdowa: „Mózg toczy okropna ciemność”. Mówi mu też rzecz, która streszcza jej los przez gorzką naiwność prowincjonalnego mitu: „ptaszki jaskółki, nim pójdą za morze, stare, zgrzybiałe, biedne matki — duszą”. Pustelnik zaprasza ją do celi; ona odmawia: „Nie pójde z tobą, bo się będziem kłócić o piękność imion naszych córek — moja!”. I, mimo bólu, ani razu nie wymienia Balladyny po imieniu — wskazuje na własne wezwanie z za grobu: „wołaj: »Bładina«”. Odchodzi w las, śpiewając ledwo słyszalnie ludową piosenkę: „Stara miała jedną krówkę i chacinę, i ogrody, i dwie córki...”. Pustelnik konstatuje sam: „Po kraju całym szukać każę tej matki — i okropny sąd wydam na dziecko”. W ten sposób trzecia kara — wyrok Pustelnika, dodany do wyroku Goplany i własnego sumienia Balladyny — staje się publicznym sądem.

Akt IV — Scena III (noc, sala bez światła w zamku, błyska)

Z drzwi prowadzących do wieżycy, w której śpi Grabiec, wymykają się Skierka i Chochlik. Pan ich „śpi głęboko”; Skierka leci „kapać się w błyskawicach”, Chochlik zaproszony na ucztę przez puchacza jednookiego w stajni („udo zadziobanej myszy”) — boi się, że puchacz „będzie patrzył krzywo, jeśli pogardzę”. Skierka jeszcze wspomina, że leci nakarmić siwą i ślepa matkę bociana, którą wczoraj uratował od chłopskiego cepa, „w taką burzę biedna stara może z przestachu umarła” — to drugi raz, kiedy Słowacki zestawia los Wdowy z losem dzikiego ptaka. Stuk — „to burza drzwi zawarła”; potem ostrzeżenie: „cyt... ktoś idzie... jakaś mara w bieli”. Skierka wylatuje przez okno, Chochlik za nim — „na koniach w zamku wyprawować hecę”.

Akt IV — Scena IV (ta sama sala)

Sama wchodzi Balladyna — „w nocnym ubiorze z nożem w ręku”. Sama do siebie: „Nie mogłam spać, nóż leżał przy mnie, wzięłam... W koszuli — wstyd! gdyby cię kto zobaczył w koszuli z nożem w ręku?”. Idzie ku wieży, w której śpi Grabiec z prawdziwą koroną Popielów. Wiatr gasi jej świecę; przez moment próbuje racjonalizować lęk: „cyt... nic nie słyhać, zamek cały głęboko śpi. Lecz jeśli śpi ten człowiek z otwartą tak powieką?”. Sama z siebie wyciska jedyny argument: „Jeżeli dziś nie zrobię rzeczy, jutro żałować będę, wiem, żałować będę”. Wiatr zatrzasnęła za nią drzwi; nie waży się obejrzeć od razu („jakby się bała spotkać z czym okropnym”), w końcu

ogłąda się: „nie ma nic, nic nie ma”. Błyska. „Wszelki duch Boga chwali! Jaka to była błyskawica czerwona! jak wszystkie ściany widziałam białe. Cyt — nie słyhać nic. Spiesz się!”. Sama prosi pioruny: „bądźcie mojego czynu słońcem. Idę”. Wychodzi na wieżę.

Akt IV — Scena V (ta sama sala)

Wchodzi Kostryn — zbrojnie, z dobytym mieczem. Drzwi otwarte, plan ma własny: „Teraz mię, Fortuno, prowadź i pomóż ze złotego cielca jak Jazonowi złote obciąć runo”. Spakował klucze od bram, ma czym płachtami obwinąć podkowy konia, by uciec z koroną Popielów w nocy — „a co nad wszystko, z cudzołożną żoną rozbrat na wieki”. Idzie ku wieży, w której śpi Grabiec; w drzwiach zderza się z Balladyną wracającą. „Kto to?” — cofa się z przestachem. „Ja”. Tłumaczy się: „słyszałem jakiś jęk, szedłem ratować”. Balladyna prosi o światło: „niech światło zobaczy, jak ja okropnie muszę być czerwona. Skończyłam”. Każe mu pójść na dół. Po chwili Kostryn wraca bez światła — wszyscy śpią, „latarniowe słupy przy bramie zamku zagasły”. Balladyna: „nie budź nikogo; musiałam zabrudzić ręce po łokieć. Dziwną pachną wonią”. Wraca po koronę — w ciemności macając po stole „ten stół miał jakieś rysy zimnej twarzy. Może to nie był stół...”. Kostryn pełni dyżur na straży, sam komentując na boku jej hartowność: „Omal tobie, Boże, nie podziękuję, że mi ona kradnie czyn ten okropny. Chciałbym na jej czole zobaczyć, jaką barwą lwica bladnie”. Wreszcie idzie sam, przynosi koronę.

Balladyna w panice: „Daj. Nie! nie! nie zbliżaj się do mnie, bo będę wołać ratunku od ludzi. Stój tam... Chciałeś mię zabić, serce twoje biło głośno, jak moje bije, gdy zarzynam”. Kostryn zaklina — „jeśli to myślał, na wieki przeklinam ów zakąt mózgu, gdzie się urodziło szalone dziecko”. Pojednanie jest pragmatyczne: trzeba ułożyć, co czynić jutro. Czaty donoszą, że Kirkor już w Gnieźnie i żelazem grozi temu, kto by się z koroną o tron upomniał. Balladyna jednak: będę miała ludzi i miecze, „tłuszcza ludzi karmiona w zamku” jest po mojej stronie, „Kirkor nie poskromi złotego deszczu”. Świegot wróbli zwiastuje świt; „biała światłość — mdło mi! mdło mi! mdło mi”. Kostryn radzi: „idź, prześpij szarą godzinę poranku. Ja sam obudzę, gdy słońce zaświeci; staniesz w rycerzy uzbrojonych wianku”. Prosi klucz do skarbu, „będę mierzył garcem przekupne złoto”. Balladyna na odchodne dorzuca trzecie zlecenie: „Skończ także ze starcem, co mieszka w celi — a nas tylko dwoje będzie wiedziało”. Kostryn z chłodną precyzją liczy inaczej: „Ty ciężarna; troje”. Balladyna brutalnie: „w biednej istocie nieurodzonej taka tajemnica. Ty się najgrawasz? jeśliby tak było, czy ja szalenica porodzić żywe? Lecz nie — będzie żyło, dziecko nic nie wie...”. W jednym zdaniu wytrąca się projekt dzieciobójstwa, w drugim sama go odwołuje. Kostryn kończy: „Niechaj moja lwica spać się położy — i zbudzi się świeża do nowych czynów, w przyłbicy rycerza”. Akt czwarty kończy się decyzją wyniesienia konfliktu poza zamek, na pole bitwy.

Akt V — Scena I (poranek na leśnej łące, po burzy)

Skierka i Chochlik, w sielankowym przerywniku, podsumowują nocne ekspedycje: Skierka „nakarmił matkę bociana”, Chochlik „uczłował u sowy”. Skierka zaczyna porannego obchodu — stawiać kwiaty na nogach, „rozczesać żyto na grzędzie”, wołać przy jeziorze „labu, labusie!” na łąbędzie Goplany, zawieszać tęczę nad łąnią karmioną pod leszczyną. Przez tuman porannej mgły, oświetlony tęczę, wychodzi sama Goplana. Pierwsze jej zdania są pożegnaniem: „Goplana na wieki wam znika. O! zapłakane fijołki! Róże moje, bądźcie zdrowe”. Tłumaczy diablikom, dlaczego musi odejść: „Polecę w okropną krainę, gdzie sosny i śniegi sine, gdzie słońce jak gasnący żar; gdzie księżyc jak twarz tych mar, co z grobu wychodzą na cmentarz”. I, najważniejsze, z anielską samokrytyką: „Anioł kar ze mną popłynie krzycząc mi w duszy: »Pamiętasz o róż i malin krainie«. Poplątałam ludzkie czyny tak, że Bogu mścicielowi trzeba wziąć grom i upuścić na ludzkie dzieła i winy”. To zarazem jej wyznanie winy i poetycki przekaz pałeczki — odtąd kara nie będzie domowym wyrokiem Goplany, lecz publicznym sądem Boga. Uchwyci się szarfy odlatujących na północ żurawi — „w błękit polecę blada, blada jak miesiąc od słońca, lekka jak liść, co opada” — ale „nad mury gnezneńskimi lecąc, zaśpiewam smutne pożegnanie ziemi”. Skierka i Chochlik lecą za nią.

Akt V — Scena II (pod murami Gnezna, wał)

Kirkor staje na czele wojska, w zbroi, „ze skrzydłami orlimi na barkach”, chorągwie rozwinięte, trąby grają. Mowa do rycerzy obnaża stan polityczny: „człowiek, co się o berło Lachów upomina, nie chciał wystąpić w szranki; jak podła gadzina kryje się”; co więcej, „obietnicami, złotem, zakupiwszy sobie mnogich stronników... mnodzy nasi rycerze przeszli pod namioty jasnego oszukańca”. Czeką na Pustelnika-Popiela, „po którego w lasy posłałem trzech rycerzy”; na hasło ma uderzyć na obóz samozwańca. Z północnej bramy wraca jednak goniec „kurzawą okryty”, z relacją: „W celi nie było starego człowieka; lecz na skrzypiącej gałęzi przed chatą trup jego wisiał na grubym powrozie. Z białymi włosy i z podartą szatą wicher się bawił i trupa kołysał jak stara mamka”. Kirkor, mimo szoku, nie cofa walki: „Los jemu dopisał, do śmierci gonił nieszczęściem i zabił nieznaną ręką. Serceś mi osłabił”. Daje rozkaz: „Niech zaczną łuczni!” Tożsamość zabójcy Pustelnika nie zostaje wymieniona — w kontekście rozmów Balladyny z Kostryńem („skończ ze starcem”) czytelnik nie ma jednak wątpliwości, że trup w pustelniczym stroju przed chatą jest wynikiem ich nocnego zlecenia.

Akt V — Scena III (namiot Balladyny)

W namiocie Kostryń i Balladyna stoją w zbrojach z opuszczonymi hełmami. Kostryń umieszcza ich strategicznie: „Obóz jego w dole, a nasz na górze jak gniazdo orlicy”. Z aktoryjsko cyniczną

metaforą każe Balladynie zostać w namiocie: „Gdzie młóć żyto, tam plewy z omłotku lecą pod niebo. Nie rozplątuj znów na kołowrotku szczerosumiennym zaplątanych pasem dziwnej przeszłości”. Żołnierz melduje, że szyki Kirkorowe „idą do boju”. Kostryn żegna: „Bogdaj byś cicho śpiewała i przadła szatę królewską lub śmierci koszulę; to albo drugie pewnie ci się przyda”. Bierze dzidę i tarczę z rąk giermka, wychodzi.

Balladyna sama prowadzi rachunek scenariuszy. „Jeżeli zwycięży, jak mu nagrodzę? w ziemi całej łonie nie znajdę kruszcu na zalanie gardła temu Niemcowi”. W ten sposób, zanim bitwa się zacznie, postanawia o losie kochanka: po wygranej zabije i jego. „Jeżeli przegra, to się wszystko skończy chwilą okropną, wszystko się rozwiąże jak straszna bajka jakiej czarownicy: przegrała, w piersi przebiła się nożem, a nóż zatruty był jadem gadziny”. Tu wchodzi „stara kobieta w łachmanach”, którą Balladyna wcześniej kazała sprowadzić — „babę podobną do roztrzaskanego piorunem dębu”. Przynosi „rozek ludomoru”, trucizny. Balladyna pochwyciła nóż, smaruje jedno ostrze; opisuje to ze szczegółem, który jest aktem ostatecznej preparacji: „już po jednej stronie jadem zmazany okropnie poczerńiał i zarumienił się rdzą, pozieleniał; a druga strona, jeszcze niedotknięta śliną węzową, czysta jak tasaki świeżo na krętym brusie pociągnione”. W jednym ostrzu zachowała oba wyjścia: czystą stroną na siebie, zatrutą na kogoś trzeciego (lub odwrotnie — na siebie i na kochanka). Każe staruchę odpędzić, „nim cię pochwycą i na rzece splawią”.

Wraca żołnierz z raportem: „wszystko zawichrzzone na polu walki jak w burzliwej chmurze. Kirkor na szanćowej górze, gdzie rosną brzozy nad źródłem, otoczony wałem zabitych ludzi, trzyma się i siecze jasną siekierą”. Polityczne donosy: „dwiestu ludzi przekupionych wczora” przeszło z szeregów Kirkora, lewe skrzydło łuczników, „kupione złotem”, ma się rozwinąć — wówczas „pole będzie nasze”. Balladyna kwituje: „opieszala zdrada gorsza niż wierność”. Wydaje cyniczne polecenie, żeby ktoś z zapleczem „spoza góry snadnie podejść — zaskoczyć na plecy — czakanem ciąć w łeb stalowy” jakiego wodza („będziesz panem”). Drugi goniec już ze zwycięską wieścią: „Lewe się skrzydło zaczęło rozwijać i pierzchać w Gnezno... wkrótce walki koniec”. Donosi też, że sztandar Kirkora wciąż się trzyma „na małym wzgórek, gdzie rosną trzy brzozy”, lecz „trupów szaniec urósł tak wysoko” wokół niego, że nie sposób ani wziąć wodza, ani przestąpić tego umarłego wału. Balladyna: „idź na ten wzgórek, niech ci trupie żebra będą drabiną, postronkami włosy. Idź i zabijaj”. Słychać okrzyki. Wchodzi Kostryn — zbrojny i krwią pomazany. „A Kirkor?” — „Zginał”. Balladyna chowa nóż zatruty (jednostronnie): „Miałam nóż gotowy. Winnam ci życie. Naczelników głowy niech kat pościna”. Z poza namiotu krzyk: „Niech żyje wódz nasz, Fon Kostryn!”. Balladyna do siebie cynicznie: „powtarzam wyrazy jak głupia sroka... rzucę się na szyję Niemca i węzłem pocałunków zduszę”.

Kostryn wprowadza poselstwo ze stolicy. Jeden z obywateli niesie na złotej tacy chleb i sól. Kostryn melduje, że pierwsi buntownicy „już zgromadzeni pod maćkową gruszę; a ta się cieszy, że do siego roku dwa razy będzie nosiła owoce” (raz w wiosennym kwiecie, raz w

powieszonych). Posłowie klękają, oferują „serca sieroce”, dziękują za „skaranie hersztów”. Balladyna pyta cicho Kostryna, czy ktoś z nich nosił przeciw niej broń. Kostryn wskazuje: „Pan burmistrz Kurier i Pismo”. Balladyna: powiesić obu „na dzwonie wieży zamkowej”. Posłowie błagają: „w twoim łonie kamienne serce”. Balladyna ułaskawia w trybie szydzącym: „Wybić im zęby i wyłamać szczęki, niechaj nie walczą”; widząc przerażenie, dodaje krótkie usprawiedliwienie: „Jestem kobiętą”.

Po czym następuje gest, który wymaga osobnego zatrzymania. Balladyna wzywa do siebie Kostryna, mówiąc głośno, że winna mu połowę zdobytego miasta i kraju, a „chleba połowa słusznie należy” — i wyjmuje ten sam nóż z ostrzem nasmarowanym z jednej strony jadem. Rozcina nim chleb na dwoje. „Wszystkim się podzielę, a serce weźmiesz całe”. Kostryn klęka: „O! królowa!”. Balladyna kosztuje swoją połowę, widzi, że Kostryn z ufnością je swoją, i z dwuznaczną perswazją: „Czyń, co ja czynię. Nie lękam się jadu w chlebie poddanych. Choćby miasto żyta użyli lusek żelaznego gadu, smaczną ci będzie żelazem zdobyta bułka... Jedz, proszę... trzeba ludziom wierzyć”. W tym jednym geście kończy się trzy rzeczy: pakt z Kostrynem, jego rola w fabule i wątek noża zatrutego z jednej strony. To zarazem aluzyjna profanacja chleba i soli — najświętszego polskiego rytuału powitania. Z tym wracają tryumfalnie do stolicy.

Akt V — Scena IV (sala królewska w Gnieźnie, tron w głębi)

Wokół tronu zgromadzeni: Kanclerz u stóp, panowie państwa, Wawel — „dziejopis królów na Gnieźnie”, Paź, sędziowie. Goniec melduje: „Nasz król, pan nowy — kobiéta”. Kanclerz przyjmuje to zwięźle: „Niech będzie odważną, jak była Wanda... niech tak dobrą będzie, ale szczęśliwszą”. Drugi goniec donosi o cudzie nad miastem. Wawel poświadcza go z wytwornym wykrętem dziejopisa: „Nie ja widziałem, lecz widziało wielu; mogę przyświadczyć na rzecz z mego czasu” — z nieba wyleciał sznur żurawi, na nim „za śnieżne ramiona mglista niewiasta”. Paź potwierdza pełniej: chwyciła się ostatniego ptaka, „głową do ziemi sypała włosów rozwite obrączki, jasne jak słońce”. To Goplana, lecąca obiecany przelotem nad Gniezmem, by zaśpiewać pożegnanie ziemi. Robi się ciemno jak przed burzą. Strażnik wieży donosi inną wersję: „nad blaszaną banią królewskich zamków” wisi chmura z purpury, „na czarnym wozie jakaś jędza blada, stu żurawiami wywieziona z piekła, wężami stado wędrujące siekła i kierowała nad zamek do chmury”. Z mgły słychać jęk. Kanclerz nie wierzy: „musiałeś być pijany”. Ale strażnik upiera się, że widział „lud z okolicy i lud gnieźnieński”. To podwójne sprawozdanie — Wawelowe i strażnika — jest jednym z najlepszych Słowackiego dowcipów: ten sam fakt ariostycznego cudu trafia do kronik jako lecąca po niebie niewiasta i do plotki gawiedzi jako jędza piekielna.

Wkracza Balladyna w królewskim ubiorze, w koronie Lecha — za nią Kostryn w zbroi i lud. Kanclerz wita ją wezwaniem do mądrości i sprawiedliwości, „daj łaskę winnym — daj łaknącym chleba”, i przypomina obyczaj królewski: „król, nim siądzie do pierwszego stołu, nim da spoczynek strudzonemu czołu, wprzód na ławie sędowniczej siada i rozwiązuje kryminalne sprawy”. Balladyna zgadza się: „Niech się tak stanie, jak wasze ustawy każą”. W tej samej chwili Kostryn chwieje się i pada. „Umieram... Precz! jędo trująca! Zrzućcie ją z tronu — ja pierwszy otwieram grobowiec ciemny dla ludzi tysiąca, co będą żyli pod nią”. Balladyna nie reaguje na jego oskarżenie: „On w malignie. Wynieść go! ciało jego stygnie. Niech lekarz uzdrowi go, za to połową kraju zapłacę”. Lekarz, schyliwszy się: „Już skonał”. Kanclerz tłumaczy to teologicznie: „Bóg ciebie przekonał, na samym wstępie u złotego tronu, że przy tych szczeblach stoi widmo zgonu i czeka na nas”. Balladyna sama do siebie podsumowuje strategię: „Już przeszłość zamknięta w grobach. Ja sama panią tajemnicy”.

Wydaje pierwsze królewskie zarządzenia, które są dosłownie cytatem z rad Kanclerza („daj łaskę winnym, daj łaknącym chleba”): rozkuć pęta brańcom wojennym, „zastawić stoły na rynkach stolicy i dawać co dnia dla żebraków strawę”. Sama o sobie mówi szyderczo i dokładnie: „Życie pełne trudu na dwie połowy przecięła korona. Przeszłość odpadła jak od płytkiej stali, którą po stronie jednej ośliniła żmija — połowa jabłka leci zgniła i czarna jadem” — w jej języku nóż zatruty jednostronnie staje się metaforą biografii. „Wyście mnie nie znali taką, jak byłam — niech więc lud nie śledzi przeszłości mojej. Wiecie, com wyznała, a resztę wyznam księdzu na spowiedzi”. Ostatnie polecenie tego ruchu jest pogrzebowo-królewskie: znaleźć ciało Kirkora pośród trupów na wzgórku z trzema brzoźkami, „obrabianymi mieczami”, przynieść na marach z jedwabną pościelą, „niech ludu tysiące płacze przy marach tego, co z orężem poległ mym wrogiem — a był moim mężem”. Ogłasza się wdową po grafie, ucina jednym zdaniem wszystkie plotki — „Co miała wyznać, wyznała królowa, a resztę powie księdzu na spowiedzi” — i z poczuciem własnej, świeżo nabytej, transcendencji prawa otwiera sąd.

Sąd ma być pierwszą próbą jej królowania. Balladyna przysięga z niesamowitą stanowczością: „Jeśli fałsz wydam, niechaj będzie ze mnie gniazdo robaków! niech się ogniem spalę! Ani mię ujmie dobroć, ani trwoga, ani odwiodą ludzie, ani czarty. Przysięgam sobie samej, w oczach Boga, być sprawiedliwą”. Całuje księgę praw i krzyż. Pierwszą sprawę wnosi królewski lekarz: „O jadotrucie. Na Kostrynie. Twój wódz otruty skonał; wielki rycerz ginie od jadu, co się zowie ludomorem. Na jego ciele żelaznym kolorem wyszło tysiące plam”. „Kogóż posądzasz?” — „Niech sąd szuka winnych”. Balladyna próbuje sprawę odłożyć — „Niech ma czas pokuty” — ale Kanclerz przypomina obyczaj: „wydawać wyrok choćby nad nieznanym i zawieszony miecz trzymać nad głową tajnego zbrodnia, aż będzie schwytanym”. Balladyna sięga po pierwszą formułę obrony: „są jednak zbrodniarze wyżsi nad wyrok, święci jak ołtarze, niedosiągnięni”. Kanclerz zamyka furtkę: „Takich Bóg ukarze. Do ciebie ziemski wyrok dać należy szczerosumienny”. Po recytacji prawa (szlachcic-truciciel — kara miecza, gminny — surowiej) Balladyna z udawaną stanowczością wydaje wyrok na własną osobę: „Otrawiciel winien jest

śmierci". Kanclerz każe otrąbić: „a jeżeli mściciel kat nie wypełni, zostawiamy Bogu". Trąby grają.

Wchodzi drugi oskarżyciel — Filon, w stroju kwietnym, z nożem i z dzbankiem malin. „Cień tego, czym byłem". Próbuje sentymentalnie wytłumaczyć kanclerzowi, kim jest („smutki mi pamięć odjęły na wieki, dręcząc pamięcią"), ale Kanclerz krótko: „Tłumacz się jaśniej". Filon kładzie rekwizyty: „Oto malinowy dzbanek, a oto nóż. A te maliny były pod głową zabitej dziewczyny, nóż był w jej piersiach". Niczym Orfeusz — sam to wprost mówi: „przyszedłem jako Orfeusz w Ereby prosić Plutona, by mi wrócił żonę" — oświadcza, że umarła Alina „żoną moją była, żoną mej duszy". Balladyna usiłuje zakwitować sprawę pogardą: „kanclerzu, ja gardzę szalonych ludzi zaskarżeniem". Kanclerz nie ustępuje: „Sąd winien śledzić do ostatka, ani pogardzać smutnym psa na kogo wyciem". Wymusza od Filona daty: „trzy razy księżyc i gwiazdy poblady przed Apollinem" — trzy miesiące od śmierci Aliny. „Mów, na kogo padły twe podejrzenia o zabójstwo krwawe?". Filon nie ma odpowiedzi w porządku sądowym — zwała wszystko na mit: „Parki przecięły srebrną nitkę jej żywota; może też z nieba jaka gwiazda złota pozazdrościła mej kochance blasku w oczach". Mówi tylko, gdzie ją znalazł: „w dumającym lasku, pod cieniem wierzby rozplakanej, spała snem nieprzespanym". Kanclerz każe znowu wydać wyrok „na nieznanym". Balladyna ironicznie próbuje schować się za skalą zbrodni: „Z tych pozabijanych nie będziem mieli prochu ani ćwierci" — i pada drugi wyrok własną ręką: „Winna jest śmierci". „Sądzisz, że zbrodniarz niewiasta?" — pyta Kanclerz. „Sądzę, jak sądzę". Otrąbione.

Wchodzi trzeci oskarżyciel — ślepa Wdowa. Kanclerz: „Ktoś ty jest?". „Wdowa". „Na kogo?". „Na dzieci skargę zanoszę". Opowiada swoją historię, nie wymieniając imion: dwie córki, młodsza uciekła „spod matczynej strzechy", starsza wyszła za „wielkiego grafa" — „w tej drugiej córce jak w makówce było rozumu; graf ją kochał bardzo, ale ja, matka, kochałam jak matka". W zamku grafa służba zaczęła nią gardzić, „aż tu mnie jednej nocy te córczysko w obliczu ludzi zaprzało się głośno". „A! córko, mówię, bądźże ty litośną dla starej matki, co już bliska truny". W odpowiedzi „była noc straszna i deszcz, i pioruny, pioruny i deszcz, i ciemno, i burza" — córka wypędziła ją z podwórca głodną „na wichry i deszcze, w noc i w pioruny", aż „piorun wypalił oczy". Kanclerz reaguje precyzją sędziego: „Lechitów ustawa śmierć przepisuje na niewdzięczne dzieci. A ty, staruszko, nazwij po imieniu wyrodną córkę, a kat ją ukarze, chociażby z pierwszym grafem państwa w parze los ją powiązał. Powiedz grafa miano i córki imię, a prawa dostaną przez mury zamku jej serca i głowy".

Wdowa, słysząc, że za jej skargę przyjdzie śmierć córki, próbuje cofnąć całą sprawę: „Co? śmierć na córkę?... Panie, bądź mi zdrowy. Żegnaj, królowo, ja wracam do boru, będę żyć rosą". Kanclerz nie pozwala: „Kto zaniósł skargę, odstąpić nie może. Wyznaj". „Nie! nie! nie!". Wówczas pada królewskie polecenie: „Wziąć na tortur łoże, i wszystkie stawy jej w żelazne kleszcze". Wdowa, wrywająca się straży, woła do milczącej królowej: „Królowo moja, zlituj się!

ja stara! Ja bym być mogła matką twoją... Boże! Ty nic nie mówisz? Nic?... To jakaś mara straszna na tronie. Więc ja się położę na tych żelazach i skonam, a w niebie Bóg wam odpuści". Balladyna nie wypowiada ani jednego słowa, które mogłoby ją ocalić. Wdowa odchodzi ze strażą.

Słysząc jęk. Balladyna zaczyna jednak czuć tortury we własnym ciele: „Z mego teraz ciała kat zrobił sercu torturę... rozciąga... Wody!". Po chwili żołnierz wraca z raportem: „Już zdjęta z żelaznego drąga. Umarła". Opis śmierci jest jedną z najmocniejszych miniatur dramatu: „A patrząc na nią, kto by się pobożył, że to kościany Chrystus był bez ducha. Każda kosteczka wywiędła i sucha przez rozciągniętą skórę wyglądała prosząc o litość... A na suchej twarzy dwa wykopała dołki śmierć kościana i w obu dołkach stoją łzy". I nigdy, do końca, „nic nie wydała". Balladyna, jakby chcąc skrócić procedurę, kwituje sucho: „Od rana siedzę na sądach, a żaden z nędzarzy tak nie pracuje długo i tak znośnie. Już noc, panowie". Kanclerz, łagodnie, ale precyzyjnie: „nie... to czarna chmura wisi nad zamkiem. Poradź się spokojnie twego sumnienia, czego wartą córa, dla której matka taką śmiercią kona?". Balladyna próbuje przerzucić wyrok na sąd: „Wy ją osądźcie". Kanclerz zwraca rzecz jej własnej koronie: „Niech twoja korona przybierze blasku sądem sprawiedliwym. Ona zaprawdę winna ogniem żywym być obrócona na węgiel piekielny. Osądź ją". Wszyscy razem: „Pociąć ją na ćwierci". Po długim milczeniu pada zdanie, którym Balladyna wydaje wyrok na samą siebie po raz trzeci tego ranka: „Winna śmierci!".

Piorun spada i zabija królową. Tym pojedynczym uderzeniem ziszczają się trzy wcześniejsze klątwy naraz: Goplany („natura zbrodnią pogwałcona będzie się mścić"), Pustelnika („jutro rano na murach zamku ujrzysz Boga palec") i sama Balladyny z porannej przysięgi sądowej („Jeśli fałsz wydam, niechaj się ogniem spale!"). Kanclerz zamyka utwór dwuwierszem, który jest pożegnaniem i wyrokiem historiografii: „Król-kobieta piorunem boskim zastrzelony; zamiast w koronacyjne bić w pogrzebu dzwony!".

Epilog

Po opadnięciu kurtyny publiczność wywołuje na scenę Wawela — „narodu dziejopisa". Wawel kłania się i tłumaczy, że jego „skoropis" już zaczynał wpisywać rzecz do kronik, i ma za złe, że przerwano mu pracę. „Czyżże jesteś stronnik?" — „Jestem sędzia bezstronny i naoczny świadek". Publiczność jednak go demaskuje. Spytany, jak opisał piorunowy przypadek, Wawel deklamuje: „Z ziarnka piasku dojść można do obrotu słońca... Królowa jak Salomon panowała mądrze, więc musiała być mądrą, przy mądrości cnota". Publiczność: „Panie Wawel, za prędką tych sądów szczodrota. Było za kulisami stać od pierwszej sceny". Wawel tłumaczy się: „Komponowałem wtenczas nad Popielem treny". Spytany o ród królowej, daje przykład dziejopisarskiej dyplomacji: wywodzi go „z kraju Obotrytów, którzy mięsa nie jedzą", choć

„jeden uczonek mieni, że pochodziła z kraju Amazonek” — z tym konkurentem rozprawi się fałszem w nocie i zatopi go w błocie: „obaczycie go piórem zabitego w trunie”. O piorunie zaś — „kiedy burza bije, trzeba bić we dzwony, gałązka laurowa lepsza od korony, bo w laur piorun nie bije ani głowie szkodzi”. Dodaje pochlebstwo poetom: „Ten, co w laurach chodzi, autor niniejszej sztuki, słusznie wam opowie, że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie, piorun weń nie uderzył”. Publiczność wyprasza go: „Pochlebiasz, mój łysy, i królom, i poetom... Idź precz za kulisy!”. Epilog jest puentą całego dramatu: wewnątrz fabuły piorun wykonał wyrok Boga, ale na zewnątrz — w porządku kroniki, plotki i pochlebstwa — historię już od pierwszej minuty pisze ktoś, kto za kulisami nie stał. Słowacki kończy *Balladynę* satyrą na własną ariostyczną materię: nawet wyrok piorunowy podlega zafałszowaniu w kronikarskim trenie nad Popielem.